

Arkadij i Borys Strugaccy

Las

Лес

Przełożyła Irena Lewandowska

Powoli, powoli pełnij,
Ślimaku, po zboczu Fudzi.
Ku górze, aż na sam szczyt!
ISSA, SYN WIEŚNIAKA

ROZDZIAŁ 1

Kandyd obudził się i od razu pomyślał' pojutrze odchodzę. I natychmiast w drugim kącie w swojej pościeli poruszyła się Nava i zapytała:

— Już ani trochę nie śpisz?

— Nie — odparł.

— W takim razie porozmawiajmy — zaproponowała. — Bo od wczorajszego wieczora wcale nie rozmawialiśmy. Dobrze?

— Dobrze.

— Najpierw powiedz mi, kiedy odchodzisz.

— Nie wiem — odpowiedział. — Już niedługo.

— Zawsze mówisz: niedługo. To niedługo to pojutrze, ty może myślisz, że to jedno i to samo, chociaż nie, już nauczyłeś się mówić, bo z początku ciągle wszystko myliłeś, dom myliłeś ze wsią, trawę z grzybami, nawet martwiaki z ludźmi też myliłeś, albo nagle zaczynałeś coś mamrotać, ani słowa nie można było pojąć, nikt cię nie mógł zrozumieć...

Kandyd otworzył oczy i wpatrzył się w niski, pokryty wapiennymi zaciekami sufit. Po suficie maszerowały mrówki robotnice. Szły dwiema równymi kolumnami, od lewej ku prawej obciążone, od prawej ku lewej bez ładunku. Miesiąc temu było odwrotnie — na lewo z grzybnią, na prawo bez bagażu, za miesiąc znowu będzie odwrotnie, jeśli im nie każą robić czegoś innego. Wzdłuż kolumn rzadkim szeregiem stały nieruchomo wielkie czarne semafony, powoli poruszając długimi czarnymi antenami; oczekiwały na rozkazy. Miesiąc temu również budziłem się i myślałem: pojutrze odejdę, ale nie odeszliśmy donikąd, i jeszcze kiedyś, bardzo dawne temu, budziłem się i myślałem, że pojutrze wreszcie odejdziemy, i oczywiście nie odeszliśmy, ale jeśli nie odejdziemy pojutrze, to odejdę sam. Oczywiście, tak też już kiedyś myślałem, ale teraz już z całą pewnością odejdę. Dobrze byłoby odejść po prostu w tej chwili, nie rozmawiając z nikim, nikogo nie prosząc, ale to można zrobić tylko wtedy, kiedy się ma jasny umysł, nie teraz. A najlepiej byłoby postanowić raz na zawsze: jak tylko obudzę się z jasnym umysłem, natychmiast wstaję, wychodzę na ulicę i idę do lasu, nikomu nie daję wciągnąć się w rozmowę, to bardzo ważne: nikomu nie pozwolić wciągnąć się w rozmowę, nie dać się zagadać, zatumanić w głowie, szczególnie w tych tu miejscach nad oczami, aż będzie dzwonić w uszach, aż zemdli, aż odrętwieją mózg i kości. A przecież Nava już mówi...

— ...i wyszło tak — mówiła Nava — że martwiaki prowadziły nas nocą, a w nocy one źle widzą, są zupełnie ślepe, to każdy ci powie, na przykład Garbus, chociaż nietutejszy, on jest z tamtej wsi, która sąsiadowała z naszą, nie z tą naszą, w której teraz jesteśmy, ale z tamtą, w której byłam bez ciebie, w której mieszkałam z mamą, więc nie możesz znać Garbusa, w jego wsi wszystko zarosło grzybami, grzybnia ich napadła, a to nie każdemu się podoba, więc Garbus od razu odszedł ze wsi. To jest Przewyciężenie, mówi, i teraz ludzie nie mają czego szukać we wsi... Taak. A księżycyca wtedy nie było i one pewnie zabłądziły, stoczyły się w jednym miejscu, a my stoimy w środku, gorąco się zrobiło, oddychać nie ma czym...

Kandyd spojrział na nią. Nava leżała na plecach, podłożyła ręce pod głowę, zarzuciła nogę na nogę, leżała nieruchomo, tylko jej wargi poruszały się bezustannie i jeszcze od czasu do czasu w półmroku połyskiwały oczy. Kiedy wszedł starzec, Nava nie zamilkła, a starzec usiadł przy stole, przysunął sobie garnek, głośno pociągając nosem powąchał i zabrał się do jedzenia. Wtedy Kandyd wstał i dłońmi otarł z ciała nocny pot. Starzec mlaskał i bryzgał śliną nie spuszczać oczu z koryta przykrytego pokrywą, żeby nie zapleśniało. Kandyd odebrał garnek i postawił obok Navy,

by zamilkła. Starzec oblizał wargi i powiedział: — Niesmaczne. Gdzie nie przyjdę, wszędzie niesmaczne. I ta ścieżka zupełnie zarosła, ta, którą wtedy chodziłem, a chodziłem dużo, och, jak dużo — i na tresurę, i po prostu żeby się wykąpać, w tamtych czasach często się kąpałem, tam było jezioro, a teraz zrobiło się błoto i niebezpiecznie jest chodzić, ale ktoś tam, wszystko jedno kto, chodzi, bo inaczej skąd tam by się wzięło tylu topielców? I szuwary. Każdego mogę zapytać: skąd tam w szuwarach ścieżki? I nikt nie może tego wiedzieć, i nawet nie powinien. A co jest w tym korycie? Jeśli to, na przykład, kiszone borówki, to chętnie bym zjadł, bo lubię kiszone borówki, ale jeżeli, powiedzmy, jakieś wczorajsze resztki, jakieś ogryzki, to nie trzeba, ja ich jeść nie będę, ogryzki sami możecie zjeść. — Starzec odczekał chwilę, przenosząc spojrzenie z Kandyda na Navę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej: — A tam, gdzie zarosło trzciną, tam już siać nie można. Przedtem siali, bo to było potrzebne dla Przewyciężenia, i wszystko zwozili na Glinianą Polanę, teraz też zwożą, tyle że teraz nie zostawiają na polanie, tylko przywożą z powrotem. Mówiłem, że nie wolno, ale oni nie rozumieją, co to znaczy „nie wolno”. Starosta zapytał mnie wprost przy wszystkich: dlaczego nie wolno? A tuż obok Kułak stoi, tak jak ty, a może nawet bliżej: a tu, przypuśćmy. Uchacz; tu, gdzie twoja Nava, stoją bracia Płaszczaki, wszyscy trzej stoją i słuchają, i on mnie przy nich, przy wszystkich pyta. Mówię do niego: jak ty możesz, przecież, mówię do niego, nie jesteśmy tu sami... Jego ojciec był nadzwyczaj mądry, a zresztą może to wcale nie jego ojciec, niektórzy mówią, że nie ojciec, i rzeczywiście na to wygląda. „Dlaczego, mówi, nie wolno przy wszystkich zapytać, dlaczego nie wolno?”

Nava wstała, oddała garnek Kandydowi i zabrała się do sprzątanania. Kandyd zaczął jeść. Starzec zamilkł, przez jakiś czas patrzył na niego poruszając wargami, a potem zauważył:

— Za krótko kwaśniało wasze jedzenie, tego nie wolno jeść.

— Dlaczego nie wolno? — złośliwie zapytał Kandyd.

Starzec zachichotał.

— Ach, ty Mruku — powiedział. — Lepiej byś milczał. Ty lepiej powiedz, dawno cię o to pytam, czy to bardzo boli, kiedy odrywają głowę?

— A co to ciebie obchodzi? — krzyknęła Nava. — Czego ty się bez przerwy czepiasz?

— Krzyczy — oznajmił starzec. — Pokrzykuje na mnie. Nic jeszcze nie urodziła, a pokrzykuje. Dlaczego nie rodzisz? Tak długo już żyjesz z Mrukiem i nie rodzisz. Wszystkie rodzą, a ty nie. Tak postępować nie wolno. A czy wiesz, co to znaczy „nie wolno”? To znaczy: źle widziane, niepożądane, a ponieważ jest źle widziane, znaczy, że tak postępować nie wolno. Co wolno — to jeszcze babka na dwoje wróżyła, ale czego nie wolno, to wiadomo, że nie wolno. To wszyscy powinni zrozumieć, a ty szczególnie, dlatego że mieszkasz w cudzej wsi, dostałaś dom i Mruka za męża. Może on nie ma własnej głowy, tylko cudzą przyprawioną, ale jest zdrowy na ciele i nie wolno ci nie rodzić. I na to wychodzi, że „nie wolno” znaczy też — absolutnie przeciwwskazań e...

Nava, wściekła i nabzdyczona, porwała ze stołu koryto i poszła do komórki. Starzec popatrzył w ślad za nią, sapnął i ciągnął dalej:

— Jak jeszcze można rozumieć „nie wolno”? Można i należy rozumieć tak, że „nie wolno” oznacza „szkodliwe”.

Kandyd skończył jeść, ze stukotem postawił pusty garnek przed starcem i wyszedł na ulicę. Dom mocno zarósł w ciągu nocy i w gęstych zaroślach widać było tylko ścieżkę, którą wydeptał starzec, i miejsce u progu, gdzie siedział niespokojnie i czekał, aż Kandyd i Nava się obudzą. Ulicę już oczyszczono, zielony pełzak grubości ręki, który wczoraj wylał z gęstwy gałęzi nad wsią i zakorzenił się przed sąsiedzką chatą, był już porąbany, polany zacierem, pociemniał i zdążył skisnąć. Pachniał ostro i apetycznie. Dzieci sąsiada obsiadły pełzaka, rwały bury miękisz i napychały usta soczystymi strzępkami. Kiedy Kandyd mijał je, najstarszy niewyraźnie krzyknął

napchanymi ustami: „Mruk–martwiak!”“ Ale okrzyku nikt nie podchwycił, dzieci były zajęte. Na ulicy, pomarańczowoczerwonej od wysokiej trawy, w której tonęły chaty, mrocznej, pokrytej bladezielonymi plamami błonia przebijającego się przez leśną strzechę, nie było nikogo. Z pola dobiegał nierówny chór smętnych głosów: „Ej, weselej siej, w lewo siej, w prawo siej...” Z lasu odpowiadało echo. A może zresztą nie echo. Może martwiaki.

Kaczonóg oczywiście siedział w domu i masował nogę.

— Siadaj — powiedział życzliwie do Kandyda. — Widzisz, rozścieliłem miękką trawkę dla gości. Mówią, że odchodzisz?

Znowu, pomyślał Kandyd, znowu wszystko od początku.

— Co, znowu cię boli? — zapytał siadając.

— Noga? E, nie, po prostu przyjemnie. Głaszczesz ją, o, tak, i jest ci miło. A kiedy odchodzisz?

— Tak jak umawiałem się z tobą. Gdybyś poszedł ze mną, to choćby pojutrze. A teraz trzeba będzie szukać kogoś innego, kto zna las. Ty przecież, jak widzę, nie chcesz iść.

Kaczonóg ostrożnie wyciągnął nogę i powiedział pouczająco:

— Kiedy wyjdiesz ode mnie, skręć na lewo i idź do samego pola. Polem, obok dwóch kamieni, od razu zobaczysz drogę, niezbyt zarosniętą, bo tam są kamienie. Tą drogą pójdziesz przez dwie wsie, jedna jest pusta, zagrzybiona, zarosła grzybami, więc nikt tam nie mieszka, a w drugiej mieszkają cudaki, niebieska trawa dwa razy tamtędy przechodziła, od tej pory chorują tam i nie ma co z nimi gadać, tak czy owak nic nie rozumieją, jakby pamięć im odebrało. A za tą cudaczną wsią, po prawej ręce, znajdziesz swoją Glinianą Polanę. I żaden przewodnik nie jest ci potrzebny, spokojnie trafisz sam, nawet się nie spocisz...

— Do Glinianej Polany dojdziemy — zgodził się Kandyd. — No a dalej jak?

— Gdzie dalej?

— Przez bagna, tam gdzie dawniej były jeziora. Pamiętasz, opowiadałeś mi o drodze z kamienia?

— O jakiej drodze? Do Glinianej Polany? Przecież ci tłumaczyłem: skręcisz na lewo, pójdziesz polem obok dwóch kamieni...

Kandyd wystuchał do końca i powiedział:

— Do Glinianej Polany teraz już drogę znam. Trafimy. Ale ja chcę iść dalej, przecież wiesz o tym. Koniecznie muszę dostać się do Miasta, a ty obiecałeś pokazać mi drogę.

Kaczonóg pokręcił głową ze współczuciem.

— Do Mia–a–asta! Do Miasta ci się zachciało. Pamiętam, pamiętam... A więc, jeżeli chodzi o Miasto, to tam nikt nie dojdzie. Co innego do Glinianej Polany — obok dwóch kamieni, przez zagrzybioną wieś, przez wieś cudaków, i po prawej ręce będziesz miał Glinianą Polanę. Albo, powiedzmy, do Szuwarów. Tylko że wtedy musisz skręcić na prawo, jak ode mnie wyjdiesz, przez zagajnik, obok Chlebowego Stawu, a potem przez cały czas ze słońcem. Tam gdzie słońce, tam i ty. Trzeba iść trzy doby, ale jeżeli tak koniecznie musisz — to pójdziemy. Dawniej zbieraliśmy tam garnki, póki nie zaczęliśmy ich sadzić tu, u siebie. Szuwarzy znam dobrze i od razu tak trzeba było mówić, że chcesz iść do Szuwarów. W takim razie nie ma co czekać do pojutrze, pójdziemy jutro rano i nic do jedzenia nie musimy zabierać, bo to obok Chlebowego Stawu... Ty, Mruk, mówisz strasznie krótko — ledwie człowiek zacznie cię słuchać, ty już zamykasz usta. A do Szuwarów pójdziemy. Pójdziemy jutro rano...

Kandyd wystuchał i powiedział:

— Zrozum, Kaczonóg, ja nie chcę iść do Szuwarów. Do Szuwarów nie chcę iść. Nie chcę iść do Szuwarów. — Kaczonóg uważnie słuchał i kiwał głową. — Ja muszę iść do Miasta — mówił dalej Kandyd. — Już od dawna rozmawiam o tym z tobą. Wczoraj ci mówiłem, że muszę iść do Miasta. Przedwczoraj ci mówiłem, że muszę iść do Miasta. Tydzień temu ci mówiłem, że muszę iść do

Miasta. A ty powiedziałaś, że znasz drogę do Miasta. Tak powiedziałaś wczoraj. I przedwczoraj też mówiłaś, że znasz drogę do Miasta. Nie do Szuwarów, tylko do Miasta. Nie chcę iść do Szuwarów. (Żeby się tylko nie pomylić, pomyślał. — A może ciągle się mylę? Nie Szuwary, tylko Miasto. Miasto, a nie Szuwary). Miasto, a nie Szuwary — powtórzył na głos. — Rozumiesz? Opowiedz mi o drodze do Miasta. Nie do Szuwarów, tylko do Miasta. A najlepiej chodźmy do Miasta razem. Chodźmy razem, nie do Szuwarów, tylko do Miasta.

Kandyd zamilkł. Kaczonóg znowu zaczął masować chore kolano.

— Słuchaj, Mruk, kiedy odrywali ci głowę, na pewno coś ci uszkodzili w środku. To tak jak z moją nogą. Najpierw była to noga jak noga, zupełnie zwyczajna noga, a później szedłem kiedyś nocą przez Mrowiska, niosłem mrówkę matkę i ta noga wpadła mi do dziupli, i teraz jest krzywa. Dlaczego akurat krzywa — tego nikt nie wie, ale chodzi niedobrze. Ale do Mrowisk jeszcze dojdę. I sam dojdę i ciebie zaprowadzę. Tylko że nie rozumiem, dlaczego powiedziałaś, żebym przygotował zapasy na drogę, do Mrowisk jest przecież dwa kroki. — Kaczonóg spojrzął na Kandyda, zmieszał się i otworzył usta. — Ale przecież ty nie wybierasz się do Mrowisk. Ty wybierasz się do Szuwarów. A ja nie mogę do Szuwarów, nie dojdę. Widzisz, jaka ta noga jest krzywa? Słuchaj, Mruk, a dlaczego ty tak nie chcesz iść do Mrowisk? Wiesz co? Pójdziemy do Mrowisk. Przecież od tamtej pory nie byłem tam ani razu, może ich, tych Mrowisk, w ogóle już nie ma? Poszukamy tej dziupli, co?

On mi zaraz zmaści w głowie, pomyślał Kandyd. Pochylił się i przyturlał do siebie garnek.

— Jaki ładny masz garnek — powiedział. — Już nie pamiętam, gdzie ja ostatni raz widziałem takie ładne garnki... A więc zaprowadzisz mnie do Miasta? Mówiłaś, że nikt oprócz ciebie nie zna drogi do Miasta. Pójdziemy do Miasta. Kaczonogu, dobrze? Jak myślisz, dojdziemy do Miasta?

— No chyba! Dojdziemy! Do Miasta? Oczywiście, że dojdziemy. A gdzie ty takie garnki widziałeś, to ja wiem. Cudaki mają takie garnki. Oni ich nie sadzą, oni je robią z gliny, tam niedaleko jest Gliniana Polana, już ci przecież mówiłem: jak wyjdiesz ode mnie, od razu trzeba skręcić na lewo i obok dwóch kamieni — do zagrzybionej wsi. A w zagrzybionej wsi już nikt nie mieszka, tam w ogóle nie warto zaglądać. Co to, grzybów nie widzieliśmy, czy co? Kiedy moja noga jeszcze była zdrowa, nigdy nie chodziłem do tej zagrzybionej wsi, wiem tylko, że dwa wąwozy za nią mieszkają cudaki... Tak... Można by wyruszyć jutro... Tak... Słuchaj, Mruk, a wiesz ty co, lepiej tam nie pójdziemy. Nie lubię tych grzybów. Rozumiesz, grzyby w naszym lesie to co innego, jeść je można i są smaczne. A w tamtej wsi grzyby rosną zielone takie jakieś, i zapach mają paskudny. Po co tam chcesz iść? Jeszcze grzybnię tu zawleciesz. Lepiej pójdziemy do Miasta. O wiele lepiej i przyjemniej. Tylko że wobec tego jutro iść nie możemy. Trzeba zrobić zapasy jedzenia, trzeba o drogą zapytać. A może ty znasz drogę? Jeśli znasz, to ja nie będę wypytywać, bo jakoś nie przychodzi mi do głowy, kogo by tu zapytać. Może zapytać starosty, jak myślisz?

— A czy ty sam nic nie wiesz o drodze do Miasta? — zapytał Kandyd. — Ty o tej drodze wiesz bardzo dużo. Raz jeden nawet prawie do samego Miasta doszedłeś, ale przestraszyłeś się martwiaków, przestraszyłeś się, że sam jeden nie dasz sobie z nimi rady...

— Martwiaków się nie bałem i nie boję — oświadczył Kaczonóg. — Powiem ci, czego się boję. Jak my z tobą będziemy szli — tego się boję. Czy ty przez cały czas będziesz milczeć? Przecież ja tak nie umiem. I jeszcze czegoś się boję... Nie gniewaj się na mnie, Mruk, powiedz mi, a jeśli nie chcesz mówić głośno, to powiedz szeptem albo po prostu kiwnij głową, a jeżeli nie chcesz nawet kiwać, to teraz na przykład prawe oko masz w cieniu, zamknij je, nikt tego nie zobaczy, ja jeden zobaczę. A moje pytanie jest takie: być może ty pomimo wszystko jesteś troszeczkę martwiakiem? A ja przecież martwiaków nie znoszę, jak je widzę, z miejsca dostaję dreszczy i nic na to nie mogę poradzić...

— Nie, Kaczonogu, nie jestem martwiakiem — powiedział Kandyd. — Ja sam ich nie cierpię. A jeżeli boisz się, że będę milczeć, to przecież nie pójdziemy we dwóch, już ci mówiłem. I Kułak z nami pójdzie, i Kusy, i jeszcze dwaj chłopci z Osady.

— Ja z Kułakiem nie pójdę — kategorycznie powiedział Kaczonóg. — Kułak moją córkę zabrał i nie upilnował. Ukradli mu moją córkę. Mnie nie szkoda, że ją zabrał, ale szkoda, że nie upilnował. Szedł z nią do Osady, zaczęli się na niego złodzieje, córkę zabrali, a on ją oddał. Szukałem jej potem z twoją Navą, szukałem, ale i tak nie znalazłem. Nie. Mruk, że złodziejami nie ma żartów. Gdybyśmy z tobą poszli do Miasta, złodzieje nie daliby nam spokoju. Co innego do Szuwarów, tam możemy iść spokojnie: Jutro sobie pójdziemy.

— Pojutrze — powiedział Kandyd. — Ty pójdiesz, ja pójdę, Kułak, Kusy i jeszcze dwaj z Osady. I tak dojdziemy do samego Miasta.

— W sześciu dojdziemy — z przekonaniem powiedział Kaczonóg. — Sam jeden bym nie poszedł, oczywiście, ale w sześciu dojdziemy. W sześciu do samych Czarcich Gór dojdziemy, tylko że ja nie znam drogi. A może pójdziemy do Czarcich Gór? To bardzo daleko, ale w sześciu dojdziemy. Czy może nie chcesz iść do Czarcich Gór? Słuchaj, Mruk, wiesz co, najpierw dojdziemy do Miasta, a tam na miejscu zobaczymy. Tylko jedzenia trzeba zabrać bardzo dużo.

— Dobrze — powiedział Kandyd wstając. — A więc pojutrze idziemy do Miasta. Jutro pójdę do Osady, potem się z tobą zobaczę i jeszcze raz ci przypomnę.

— Wpadnij — powiedział Kaczonóg. — Sam bym wpadł do ciebie, tylko że noga mnie boli, wprost sił brak. Ale ty wpadnij. Porozmawiamy. Wiem, wielu nie lubi z tobą rozmawiać, z tobą bardzo się trudno rozmawia, Mruk, ale ja nie jestem taki. Ja już przywykłem i nawet to polubiłem. Sam przyjdź i swoją Navę przyrowadź, udała ci się ta twoja Nava, tylko szkoda, że dzieci nie ma, ale to nic, jeszcze będą, młoda jest ta twoja Nava...

Na ulicy Kandyd ponownie otarł z siebie dłońmi pot. Ciąg dalszy następował. Obok ktoś zachichotał i zakasłał. Kandyd odwrócił się. Z trawy wylał starzec, pogroził wężlastym palcem i powiedział:

— A więc do Miasta się wybierasz? Patrzcie go! Ciekawie pomyślane, tylko że do Miasta nikt jeszcze nie doszedł żywy, zresztą nie wolno. Chociaż głowę masz przekreconą, to akurat powinieneś rozumieć...

Kandyd skręcił na prawo i ruszył ulicą. Starzec, płacząc się w trawie, czas jakiś włócił się za Kandydem i mamrotał: „Jeżeli czegoś nie wolno, to zawsze w jakimś sensie nie wolno, w tym albo w innym... Na przykład nie wolno bez starosty albo bez zebrania, a ze starosta albo z zebraniem wręcz przeciwnie, można, ale znowuż nie w każdym sensie...”. Kandyd szedł tak szybko, na ile mu pozwalała nużący, wilgotny upał, i starzec z wolna zostawał w tyle.

Na wiejskim placyku Kandyd zobaczył Uchacza Uchacz zataczał kręgi na chwiejnych, płaczących się krzywych nogach i wychlupywał dłońią z ogromnego garnka brązowy trawomor. Trawa dymiła i wędła w oczach. Uchacza należało wyminąć, i Kandyd spróbował go wyminąć, ale Uchacz tak przemyślnie zmienił trajektorię, że zderzył się z Kandydem twarzą w twarz.

— A—a. Mruk! — zawołał radośnie, pośpiesznie zdejmując ramię z szyi i stawiając garnek na ziemi. — Gdzie idziesz, Mruk? Myślę, że idziesz do domu, do Navy, jak to młody, i nie wiesz tego, Mruk, że twojej Navy nie ma w domu, twoja Nava jest w polu, na własne oczy widziałem, jak twoja Nava szła na pole, możesz mi teraz wierzyć albo nie wierzyć. Naturalnie może i nie na pole, jak to młoda, ale twoja Nava szła tędy, tą właśnie uliczką, a tą uliczką nigdzie nie trafisz, jak tylko na pole, zresztą pytanie, gdzie ona jeszcze może iść? Jeszcze tylko najwyżej ciebie, Mruka, poszukać...

Kandyd ponownie spróbował wyminąć Uchacza i znowu w nie wyjaśniony sposób stanął z nim twarzą w twarz.

— A ty nie idź za nią na pole, Mruk — mówił dalej z przekonaniem Uchacz. — Po co masz iść po nią, kiedy ja zaraz zniszczę trawę i wszystkich tu zwołam; geometra przyszedł i powiedział, że starosta mu polecił, żeby on mi kazał wytepić trawę na placu, bo niedługo będzie zebranie, tu, na placu. A jak będzie zebranie, to wszyscy tu przyjdą z pola, i twoja Nava przyjdzie, jeśli poszła na pole, bo, z drugiej strony, gdzie ona jeszcze mogła iść tą uliczką, jak nie na pole? Chociaż, jeśli dobrze pomyśleć, to tą uliczką nie tylko na pole można trafić. Można jeszcze...

Uchacz nagle zamilkł i spazmatycznie wciągnął powietrze. Powieki mu opadły, ręce jakby same z siebie uniosły się dłońmi do góry. Twarz rozciągnęła się w słodkim uśmiechu, następnie obwisła; Uchacz wyszczerzył zęby. Kandyd, który już odchodził, przystanął, żeby posłuchać. Mętny liliowy obłoczek otoczył nagle głowę Uchacza, zgęstniał. Wargi Uchacza zadrżały, zaczął mówić szybko i wyraźnie, obcym głosem z obcym akcentem; obcym, nie wiejskim stylem, nawet jakby w obcym języku, tak że zrozumiałe były tylko poszczególne zdania:

— Na dalekich rubieżach Południowych Ziemi do walki przystępują wciąż nowe... cofa się coraz dalej i dalej na południe... Wielkie Przeoranie Gleby na Ziemiach Północnych zostało chwilowo wstrzymane z powodu rzadkich i sporadycznych... Nowa metoda Zabagniania pozwala na uzyskanie nowych, znacznych obszarów spokoju i natarcia w... We wszystkich osiedlach... wielkie zwycięstwa... praca i wysiłek... nowe oddziały przesławnych druchen... jutro i na zawsze Uspokojenie i Zespolenie...

Zdażył się przywlec starzec i teraz spoza ramienia Kandyda komentował z zapalem:

— We wszystkich osiedlach, słyszałeś? To znaczy, że i w naszym również... Wielkie zwycięstwa! Ciągłe powtarzam: nie wolno... Uspokojenie i Zespolenie — każdy chyba rozumie. I u nas, to znaczy, że u wszystkich... I nowe oddziały druchen, zrozumiałeś?

Uchacz zamilkł i przykucnął. Liliowy obłoczek roztajał. Starzec niecierpliwie szturchnął Uchacza w tyse ciemię. Uchacz zamrugnął i potarł uszy.

— O czym to ja mówiłem? — zapytał. — Audycja była czy co? Jak tam idzie Przewyciężenie? Dokonuje się czy nie? A ty, Mruk, nie idź na pole. Ty przecież, zdaje się, idziesz po swoją Navę, a twoja Nava...

Kandyd przeskoczył przez garnek z trawomorem i odszedł pośpiesznie. Głos starca szybko ucichł — może pokłócił się z Uchaczem, a może dostał zadyszki i wszedł do któregoś domu, by odsapnąć i przy okazji coś przegryźć.

Dom Kułaka stał na samym skraju wsi. Niechlujna starucha, ni to matka, ni to ciotka, powiedziała, niezyczliwie parszkając, że Kułak nie ma w domu. Kułak jest na polu, a gdyby był w domu, to nie ma po co szukać go na polu, ale jeśli jest na polu, to czego on, Mruk, stoi niepotrzebnie?

Na polu trwał siew. Duszne nieruchome powietrze było przesycone mieszaniną ostrych zapachów, śmierdziało potem, zacierem, gnijącym zbożem. Poranny urodzaj grubą warstwą zwalono wzdłuż bruzdy i ziarno już z lekka fermentowało. Nad garnkami z zacierem krążyły i wirowały muchy robotnice, a w samym centrum tego czarnego, połyskującego metalicznie wiru stał starosta i pochyliwszy głowę, przymrużywszy jedno oko, uważnie studiował kroplę surowicy na paznokciu dużego palca. Paznokieć był specjalnie przystosowany do tego celu, płaski, starannie wypolerowany, wyczyszczony do połysku odpowiednimi mieszankami. U nóg starosty, w bruzdzie, dziesięć kroków jeden od drugiego, pełzali siewcy. Już nie śpiewali, ale w głębi lasu ciągle jeszcze coś huczało i jęczało, i teraz już było jasne, że to nie echo.

Kandyd poszedł wzdłuż szeregu i pochylając się spoglądał w pochylone twarze. Kiedy odszukał Kułaka, dotknął jego ramienia, a Kułak, o nic nie pytając, wylazł z bruzdy. Brodę miał utyłaną w błocie.

— Czego, maćtrwa, mnie potracasz? — zachrypiął patrząc na nogi Kandyda. — Kiedyś taki

jeden, też, maćtrwa, potrącał, to go wzięli za ręce i za nogi, zarzucili na drzewo, do tej pory tam wisi, a jak go zdejmą, to już więcej nikogo trącać nie będzie, maćtrwa...

— Idziesz? — krótko zapytał Kandyd.

— Pewnie że idę, maćtrwa, jeżeli przygotowałem zacier na siedmiu, do domu wejść nie można, śmierdzi, że można zdechnąć, jak teraz nie iść — stara nie chce wynosić, a ja sam na to wszystko już patrzeć nie mogę. Tylko gdzie my idziemy? Kaczonóg wczoraj mówił, że do Szuwarów, a ja do Szuwarów nie idę, maćtrwa, tam w Szuwarach żadnych ludzi nie ma, nie mówię dziewczuch, tam jeżeli człowiek zechce kogo złapać za nogę i zarzucić na drzewo, to, maćtrwa, nie ma kogo, a dla mnie bez dziewczuchy nie ma życia, starosta do grobu mnie wpędzi... O, tam stoi, maćtrwa... gały wytrzeszczył, a sam ślepy jak kolano, maćtrwa... Jeden już tak stał, a jak mu przysunęli w oko, to już więcej nie stoi, maćtrwa, a do Szuwarów nie pójde, jak tam sobie chcesz...

— Do Miasta — powiedział Kandyd.

— Do Miasta to co innego, do Miasta to ja pójde, chociaż mówią, że żadnego Miasta w ogóle nie ma, tylko ten stary grzyb wszystko zmyśla — przylezie rano, wyżre pół garnka i zaczyna, maćtrwa, głędzić: tego nie wolno, tamtego nie wolno... Ja go pytam: a ktoś ty taki, żeby mi wyjaśnić, co wolno, a czego nie wolno, maćtrwa? Nie chce mówić, sam nie wie, coś mamrocze o jakimś Mieście...

— Idziemy pojutrze — powiedział Kandyd.

— A na co mamy czekać? — oburzył się Kułak. — Dlaczego pojutrze? Ja nie mogę nocować w domu, zacier śmierdzi, lepiej chodźmy dziś wieczorem, bo kiedyś jeden taki czekał i czekał, a jak mu dali po uszach, to od razu przestał czekać i do dzisiaj nie czeka... Starucha mnie wyzywa, wytrzymać nie można, maćtrwa! Słuchaj. Mruk, wiesz ty co, zabierzmy moją starą, może złodzieje się połączą, ja bym ją oddał, co?

— Idziemy pojutrze — cierpliwie powtórzył Kandyd. — A ty jesteś zuch, że przygotowałeś tyle zacieru. Wiesz, z Osady...

Nie dokończył, bo na polu rozległ się krzyk.

— Martwiaki! Martwiaki! — wrzeszczał starosta. — Kobiety do domu! Uciekajcie do domu!

Kandyd obejrzał się. Między drzewami na samym skraju pola stały martwiaki — dwa granatowe, bardzo bliska, i jeden żółty, nieco dalej. Ich głowy z okrągłymi dziurami oczu i wąską szczeliną zamiast warg obracały się powoli, ogromne ręce zwisały wzdłuż ciała. Ziemia pod ich stopami już dymiła, białe smużki pary mieszały się z siwym dymkiem.

Martwiaki były zahartowane w bojach i dlatego zachowywały się niezmiernie ostrożnie. Żółty miał cały prawy bok przeżarty trawomorem, a obydwie granatowe, poparzone zacierem, doszczętnie zarosły liszajami. Ich skóra w wielu miejscach obumarła, popękała i zwisała strzępami. Póki martwiaki stały i patrzyły, kobiety z piskiem uciekały do wsi, a mężczyźni z gadatliwym groźnym mamrotaniem stłoczyli się trzymając w pogotowiu garnki z trawomorem.

Potem starosta powiedział: „Pytam, na co my czekamy? Idziemy, co tu będziemy stać!”, i wszyscy niespiesznie ruszyli na martwiaki rozsypując się w tyralierę. „Po oczach! — wykrzykiwał starosta. — Starajcie się chlusnąć im w oczy! Najlepiej trafić w oczy, bo jak nie w oczy, to szkoda zachodu...” W tyralierze straszili: „Hu-hu-hu! Uciekajcie — stąd! Wynocha! Hu-hu-hu!” — nikt nie miał ochoty wdawać się z martwiakami.

Kułak szedł obok Kandyda wydłubując z brody zaschnięte błoto, wrzeszczał głośniejsz od innych, a w przerwach gadał:

— E-e-e, niepotrzebnie się pchamy, maćtrwa, nie wytrzymają, zaraz uciekną... Czy to są prawdziwe martwiaki?

; Kiepskie jakieś takie, marne... nie wytrzymają... Hu-hu-hu! Ej, tam!

Kiedy martwiaki były już o jakieś dwadzieścia kroków, ludzie stanęli. Kułak rzucił w żółtego

grudką ziemi, martwiak z nieoczekiwaną zwinnością wysunął przed siebie szeroką dłoń i odbił grudkę w bok. Wszyscy znowu zahuczeli, zatupali nogami, niektórzy pokazywali martwiakom garnki i wykonywali ostrzegawcze gesty. Szkoda było trawomora i nikomu nie chciało się lecieć później do wsi, po nowy zacier, martwiaki trafiły się doświadczone, ostrożne — powinny w końcu ustąpić bez walki.

Tak też się stało. Dym i para waląca spod nóg martwiaków zgęstniały, martwiaki cofnęły się.

— Skończone — powiedział ktoś — nie strzymały, zaraz zwieją...

Martwiaki niedostrzegalnie zmieniły się, jakby wykonały obrót wewnątrz własnej skóry. Nie było już widać ani ich oczu, ani ust, znikły między drzewami. Tam gdzie przed chwilą stały, powoli osiadał obłoczek pary.

Ludzie rozmawiając z ożywieniem ruszyli z powrotem w kierunku bruzdy. Nagle okazało się, że już czas wracać do wsi na zebranie. Poszli więc na zebranie.

— Idźcie na plac, na plac — powtarzał wszystkim starosta. — Zebranie będzie na placu, dlatego trzeba iść na plac.

Kandyd szukał wzrokiem Kusego, ale nie wiadomo dlaczego Kusego w tłumie nie było. Gdzieś przepadł Kusy. Kułak, który biegł truchtem obok, mówił:

— A pamiętasz. Mruk, jak skakałeś na martwiaka? Jak on, rozumiesz, skoczy na niego, maćtrwa, jak go złapie za głowę, obejmuje, ściska, niby Navę, maćtrwa, i jak wrzasnie... Pamiętasz, Mruk, jak wrzasnąłeś? Poparzyłeś się, wtedy, znaczy, cały później byłeś w bąblach, paskudziły się te twoje bąble, bolały... Po co ty skoczyłeś na niego, Mruk? Jeden taki też kiedyś skakał, skakał na martwiaka, zdarli mu skórę z kałduna, to teraz już więcej nie skacze, maćtrwa, i dzieciom skakać nie pozwoli... Gadają, że dlatego na niego skoczyłeś, żeby on cię zaniósł do Miasta, ale ty przecież nie jesteś dziewczyną, po co on ma cię gdzieś nosić, zresztą żadnego Miasta, jak powiadają, w ogóle nie ma, to wszystko ten stary grzyb wymyśla, takie rozmaite słowa: Miasto. Przewyciężenie... A kto to Przewyciężenie widział? Uchacz nałykał się blekotowych żuków, gada od rzeczy, a stary grzyb tylko na to czeka, nadstawia uszu, potem wszędzie łązi, wszystkich obżera i powtarza...

— Jutro rano pójde do Osady — powiedział Kandyd. — Wrócę dopiero wieczorem, w ciągu dnia mnie nie będzie. A ty zobaczysz się z Kaczonogiem i przypomnisz mu, że pojutrze idziemy. Ja już mu przypominałem, i jeszcze przypomnę, ale ty mu przypomnij swoją drogą, bo inaczej jeszcze gdzieś sobie pójdzie...

— Już ja mu przypomnę — obiecał Kułak. — Ja mu tak przypomnę, że mu ostatnia noga odpadnie.

Na placu zebrała się cała wieś, wszyscy gadali, popychali się, sypali nasiona na nagą ziemię, żeby wyrosły derki, bo nie było na czym siedzieć. Pod nogami plątały się dzieciak:, ciągnięto je za uszy i włosy, żeby się nie plątały. Starosta klnąc odpędzał kolumnę źle wyszkolonych mrówek, które niosły kokony much robotnic akurat przez środek placu, wypytał wszystkich, na czyj rozkaz mrówki tędy maszerują i co właściwie ma znaczyć ten skandal. Podejrzewano Uchacza i Kandyda, ale na wykrycie prawdy było już za późno.

Kandyd odnalazł Kusego, chciał z nim porozmawiać, ale nie zdążył, ponieważ zebranie zostało ogłoszone i jak zawsze pierwszy dorwał się do głosu starzec. O czym mówił, nie sposób było zrozumieć, jednakże wszyscy siedzieli cicho, słuchali, psykali na dokazujące dzieci, żeby przestały dokazywać. Niektórzy, ci, co mieli szczególnie wygodne miejsca — dobrze ukryte przed gorącymi plamami słońca — drzemali.

Starzec długo wywnętrzał się na temat słów „nie wolno” i w jakich okolicznościach je spotykamy, nawoływał do powszechnego Przewyciężenia, groził zwycięstwami na Północy i Południu, przeklinał wieś oraz przy okazji Osadę za to, że wszędzie są już nowe oddziały druchen, a

na wsi i w Osadzie ich nie ma. Uspokojenia też nie ma ani Zespolenia, a wszystko to dzieje się dlatego, że ludzie zapomnieli, co to znaczy „nie wolno”, i wyobrażają sobie, że teraz już wszystko wolno, i taki Mruk na przykład to w ogóle wybiera się do Miasta, chociaż nikt go tam nie wzywał i wieś za to żadnej odpowiedzialności nie ponosi, dlatego że Mruk jest tu obcy, ale jeżeli nagle się okaże, że pomimo wszystko jest martwiakiem, a z taką opinią można się na wsi zetknąć, to wtedy wiadomo, co będzie, tym bardziej że Nava, chociaż też jest obca, do tej pory nie ma z Mrukiem dzieci, i dłużej tego tolerować nie wolno, a starosta toleruje...

W połowie przemówienia starosta również się zdrzemnął, znużony, ale słysząc, że o nim mowa, wzdrgnął się i natychmiast głośno wrzasnął:

— Ej, tam! Nie spać! W domu będziecie spali! Po to właśnie stoją domy, żeby w nich spać, a na placu nikt spać nie będzie, na placu odbywają się zebrania. Nie pozwalamy spać na placu, nie pozwalaliśmy dotąd i nigdy nikomu nie pozwolimy w przyszłości. — Spojrzał zezem na starca. Starzec z zadowoleniem skinął głową. — Oto jak wygląda nasze wspólne „nie wolno”. — Starosta przygładził włosy i oznajmił: — W Osadzie wyrosła narzeczona. A my mamy narzeczonego, znanego wszystkim Pyskacza. Pyskacz, wstań i pokaż się... Albo lepiej nie, lepiej posiedź sobie, my i tak wszyscy cię znamy... Zachodzi pytanie, czy puścić Pyskacza do Osady, czy też przeciwnie — narzeczoną z Osady zabrać do naszej wsi... Nie, nie, ty, Pyskacz, sobie posiedź, zadecydujemy bez ciebie... Niech tam ktoś, kto siedzi blisko Pyskacza, przytrzyma go na miejscu, póki trwa zebranie. A kto chce wyrazić pogląd, niech wstanie i wyrazi.

Poglądy były dwa. Jedni (głównie sąsiedzi Pyskacza) żądali, żeby Pyskacza pogonić do Osady: — Niech on sobie tam chwilowo pomieszka, a my zostaniemy tutaj. — Pozostali zaś, ludzie spokojni i poważni, mieszkający z dala od Pyskacza, uważali, że przeciwnie, kobiet jakoś ostatnio jest mało i dlatego narzeczoną trzeba zabrać na wieś; chociaż Pyskacz to oczywiście Pyskacz, ale dzieci tak czy inaczej może mieć jak każdy inny. Spór trwał, długi, gorący i początkowo nawet na temat. Potem Kaczonóg bardzo niezręcznie zawołał, że czasy są teraz wojenne, a nikt o tym nie pamięta. Od razu zapomniano o Pyskaczu. Uchacz zaczął wyjaśniać, że żadnej wojny nie ma i nigdy nie było, za to jest i będzie Wielkie Przeoranie Gleby. „Jakie tam Przeoranie — nie zgodzili się w tłumie — nie Przeoranie,

tylko Nieuniknione Zabagnienie. Przeoranie dawno się skończyło, od lat jest wyłącznie Zabagnienie, tylko Uchacz o tym nie wie, zresztą skąd ma wiedzieć, skoro jest Uchaczem”. Starzec wstał i wytrzeszczając oczy ochryple wrzasnął, że tego wszystkiego nie wolno, że nie ma żadnej wojny, żadnego Przeorania i żadnego głupiego Zabagnienia, za to jest, była i będzie Powszechna Walka na Północy i Południu. „Jak to nie ma wojny, maćtrwa — odpowiadano mu z tłumy — kiedy za wsią cudaków jest jezioro pełne topielców?” Zebranie eksplodowało. No to co, że topielcy? Gdzie jest woda, tam są topielcy, w tej wsi cudaków wszystko jest nie jak u ludzi, i wieś cudaków nie będzie nam rozkazywać, oni tam z gliny jedzą, w glinie mieszkają, żonę oddałeś złodziejom, a teraz opowiadasz o topielcach? Głupie gadanie, to nie są żadni topielcy ani żadna walka, ani wojna, tylko Uspokojenie i Zespolenie w celu Przewyciężenia! A w takim razie dlaczego Mruk idzie do Miasta? Mruk idzie do Miasta, to znaczy Miasto jest, a jeśli jest, to co to może być za wojna — jasne dla wszystkich, że tylko Zespolenie! A co nas obchodzi, dokąd chce iść Mruk? Jeden też kiedyś szedł, a jak mu przyłożyli, to więcej już nigdzie nie idzie... Mruk dlatego idzie do Miasta, że Miasta nie ma, znamy tego Mruka, niby głupi, do trzech nie zliczy, a jak trzeba, to mądry. Mruk nie da się zrobić w konia i jeżeli Miasta nie ma, to jakie znowu może być Zespolenie? Nie ma żadnego Zespolenia, kiedyś rzeczywiście było, ale już dawno go nie ma... To i Przewyciężenia też nie ma! Ej, kto tam krzyczy, że nie ma Przewyciężenia? Ty co chcesz przez to powiedzieć? No? Pyskacz! Trzymajcie Pyskacza! Ech, nie utrzymali Pyskacza! Ech, jak mogliście nie utrzymać Pyskacza?

Kandyd wiedział, że teraz to już potrwa długo, spróbował zacząć rozmowę z Kusym, ale Kusy nie miał głowy do rozmów. Kusy krzychał z wysiłkiem:

— Przewyciężenie?! A martwiaki tu po co?! Przemilczacie martwiaków? A dlatego przemilczacie, że nie macie pojęcia, co o nich myśleć, no to krzyczcie o jakimś tam Przewyciężeniu!...

Coś tam jeszcze wrzeszczeli o martwiakach, potem o zagrzybionych wsiach, potem zmęczeni zaczęli przycichać ocierając twarze, słabo opędzając się od sąsiadów, i szybko okazało się, że wszyscy milczą, a gadają tylko starzec i Pyskacz. Wtedy ludzie się opamiętali. Pyskacza usadzili wspólnym wysiłkiem i zapchali mu usta liśćmi. Starzec jeszcze przez jakiś czas mówił, ale stracił głos i nikt go nie słyszał. Wtedy wstał rozczochny przedstawiciel Osady i przyciskając dłonie do piersi, tocząc dookoła błagalnym wzrokiem zaczął prosić zdartym głosem, żeby Pyskacza nie oddawano do nich, do Osady. Nie potrzeba im Pyskacza, sto lat żyli bez Pyskacza i jeszcze sto lat spokojnie przeżyją, lepiej bierzcie narzeczoną do siebie, a wtedy Osada nie poskąpi posagu, sami zobaczycie... Nikt nie miał siły na rozpoczęcie sporu od nowa — postanowiono zastanowić się i zdecydować później, tym bardziej że przecież się nie pali.

Ludzie zaczęli rozchodzić się na obiad. Kusy wziął Kandyda za rękę i odciągnął pod drzewo.

— A więc kiedy idziemy? — zapytał. — Wieś już mi zbrzydła, ja chcę do lasu, tutaj z nudów niedługo całkiem się rozchoruję... Nie chcesz iść — to powiedz od razu, sam pójdę, Kułaka albo Kaczonoga namówię i pójdę razem z nimi...

— Idziemy pojutrze — powiedział Kandyd. — Zapasy przygotowałeś?

— Przygotowałem, ale zjadłem, nie mam cierpliwości patrzeć na jedzenie, kiedy tak leży bez pożytku i nikt oprócz starego nie je; ja jak na niego patrzę, to po prostu robię się chory, ja tego starego kiedyś stłukę jak psa, jeśli szybko stąd nie odejdziemy... Jak myślisz, Mruk, kto to jest ten stary, dlaczego on wszystkich objada i gdzie on mieszka? Jestem człowiek obyty, byłem chyba w dziesięciu wsiach, i u cudaków byłem, i nawet kiedyś do zamorzonych trafiłem, nocowałem u nich, o mało nie skonałem ze strachu, a takiego starucha nigdzie nie widziałem, to jest jakiś wyjątkowo rzadki staruch i pewnie dlatego trzymamy go zamiast zabić; ale ja już nie mam siły patrzeć, jak on w moich garnkach grzebie dniem i nocą — i na miejscu je, i ze sobą zabiera, a przecież jego jeszcze mój ojciec przeklinał, póki martwiaki ojca nie zatłukły... I że się też to wszystko w nim mieści? Popatrzeć — skóra i kości, on tam w środku nie ma miejsca na jedzenie, z tymczasem dwa garnki potrafi wylizać i jeszcze dwa zabiera ze sobą, a do tego garnków nigdy nie odniesie z powrotem... Wiesz co, Mruk, a może on nie jest jeden, może ich jest dwóch albo i trzech? Dwóch śpi, a jeden pracuje. Nażre się, obudzi następnego, a sam się kładzie, żeby odpocząć...

Kusy odprowadził Kandyda do domu, ale na obiedzie nie został — z delikatności. Opowiadał jeszcze przez jakieś piętnaście minut o tym, jak na jeziorze w Szuwarach przywabia się ryby kiwając palcem, zgodził się wpaść jutro do Kaczonoga i przypomnieć mu o podróży do Miasta, wygłosił opinię, że Uchacz to naprawdę nie żaden Uchacz, a po prostu bardzo schorowany człowiek; że martwiaki łowią kobiety, kiedy są głodne, bo mężczyźni mają twarde mięso, a martwiaki są bezzębne; obiecał przygotować na pojutrze nowe zapasy, a starca przegonić bez litości, i wreszcie odszedł.

Kandyd z trudem wciągnął powietrze i przed wejściem do domu chwilę stał w drzwiach potrząsając głową. Ty, Mruk, tylko nie zapomnij, że jutro masz iść do Osady, z samego rana iść, nie zapomnij — nie do Szuwarów, nie na Glinianą Polanę, ale do Osady. I po co ty, Mruk, wybierasz się do Osady, poszedłbyś lepiej do Szuwarów, tam jest dużo ryb... i w ogóle ciekawie... Nie zapomnij, Mruk, do Osady, nie zapomnij, Kandyd, do Osady... jutro do Osady... namawiać chłopców, bo przecież we czwórkę nie dojdziemy do Miasta... Kandyd nawet nie zauważył, jak wszedł do domu.

Nawy jeszcze nie było, a przy stole siedział starzec i czekał, aż ktoś przyjdzie i da mu obiad. Spojrzał gniewnie na Kandyda i powiedział:

— Wolno chodzisz, Mruk, ja tu w dwóch domach byłem — wszędzie już jedzą obiad, a u nas pusto... Pewnie dlatego dzieci nie macie, że chodzicie powoli i w domu nigdy was nie ma, kiedy pora na obiad...

Kandyd zbliżył się do starca i chwilę stał zbierając myśli. Starzec mówił:

— Jak długo ty będziesz szedł do Miasta, kiedy na obiad nie można się ciebie doczekać? Mówią, że do Miasta jest bardzo daleko, teraz już wszystko o tobie wiem, wiem, że się wybieracie do Miasta, jednego tylko nie wiem — jak ty chcesz iść do Miasta, jeżeli do garnka z jedzeniem idziesz cały dzień i dojść ule możesz... Przyjdzie mi iść z wami, już ja was zaprowadzę, od dawna wybieram się do Miasta, tylko że drogi nie znam, a wybieram się po to, żeby spełnić swój obowiązek i wszystko o wszystkim opowiedzieć komu należy...

Kandyd wziął starca pod pachy i gwałtownym ruchem wyciągnął zza stołu. Ze zdumienia starzec zamilkł. Kandyd wyniósł go z domu na wyciągniętych rękach, postawił na drodze i wytarł dłonie trawą. Starzec oprzytomniał.

— Nie zapomnijcie tylko zabrać dla mnie jedzenia — powiedział do pleców Kandyda. — Weźcie dla mnie dużo dobrego jedzenia, bo ja idę spełnić swój obowiązek, a wy dla własnej przyjemności i na przekór „nie wolno”.

Kandyd wrócił do domu, usiadł przy stole i opuścił głowę na zaciśnięte pięści. A jednak pojutrze odchodzę, pomyślał. Żebym tylko nie zapomniał: pojutrze... Pojutrze, pomyślał. Pojutrze, pojutrze.

ROZDZIAŁ 2

Kandyd wyszedł jeszcze po ciemku, żeby zdążyć wrócić na obiad. Do Osady było z dziesięć kilometrów, droga znana, dobrze udeptana, cała pokryta nagimi plackami od trawomora. Panowało przekonanie, że można nią chodzić bezpiecznie. Po lewej i po prawej stronie drogi ciągnęły się ciepłe bezdenne mokradła, z rdzawej cuchnącej wody wystawały przegniłe czarne gałęzie, sterczały okrągłe białe kapelusze gigantycznych błotnych muchomorów, a od czasu do czasu tuż przy drodze leżały porzucone, rozgniecione gniazda wodnych pajaków. Ze ścieżki trudno było zobaczyć, co się działo na mokradłach — z gęstych, splątanych koron drzew nad głową zwisały, ginęły w trzęsawisku miliardy grubych zielonych kolumn, sznurów lian, niepewnych jak pajęczyna nici; chciwa żarłoczna zieleń za mglistym murem ukrywała wszystko prócz dźwięków i zapachów. Od czasu do czasu w żółtozielonym półmroku coś się rwało i spadało z przeciągłym szumem, rozlegał się tłusty, gęsty plusk, bagno wzdychało, burczało, cmokało i znowu zapadała cisza, a w chwilę później poprzez zieloną kotarę wypełzał mogilny smród zaniepokojonej otchłani. Ludzie mówili, że przez te bezdenne moczary żaden człowiek nie przejdzie, za to martwiaki chodzą wszędzie — wiadomo, jak to martwiąca — bagno ich nie przyjmuje. Na wszelki wypadek Kandyd wyłamał sobie kij, nie dlatego żeby się bał martwiaków, martwiaki dla mężczyzny właściwie są niegroźne, ale dlatego że o leśnym życiu chodziły różne słuchy, a niektóre z nich przy całej swojej absurdalności i głupocie mogły okazać się prawdziwe.

Kandyd był jakieś pięćset kroków od wsi, kiedy go dogoniła Nava. Przystanął.

— Dlaczego poszedłeś beze mnie? — zapytała Nava nieco zdyszczonym głosem. — Przecież mówiłam ci, że pójdę z tobą, nie zostanę sama w tej wsi, nie mam tam co robić sama, nikt mnie tam nie lubi, a ty jesteś moim mężem i powinieneś zabierać mnie ze sobą, to jeszcze nic nie znaczy, że nie mamy dzieci; ty jesteś moim mężem, ja jestem twoją żoną, a dzieci jeszcze będziemy mieli... Ja ci powiem szczerze i uczciwie, że jeszcze wcale nie chcę mieć dzieci, nie rozumiem, po co nam dzieci i co z nimi będziemy robić... Niech tam sobie starosta gada, co chce, i ten twój starzec to samo, u nas na wsi było zupełnie inaczej: kto chce, ten ma dzieci, a kto nie chce, ten nie ma...

— Wracaj do domu — powiedział Kandyd. — Skąd ci przyszło do głowy, że odchodzę? Idę tylko do Osady, na obiad wrócę do domu...

— No to bardzo dobrze, ja pójdę z tobą, a na obiad wrócimy razem, bo mam obiad jeszcze z wczoraj i tak go dobrze schowałam, że nawet ten twój staruch nie znajdzie...

Kandyd poszedł dalej. Dyskusja nie miała sensu, niech idzie. Nawet poweselał, nawet nabrał ochoty, żeby go ktoś zaczepił, żeby przyłożyć komuś kijem, wyładować na kimś swój smutek, gniew i bezsilność wzbierającą w nim od tyłu już lat. Żeby się tak trafili złodzieje. Albo martwiaki — wszystko jedno. Niech dziewczyna idzie. Też mi żona. Dzieci nie chce. Zamachnął się z całej siły, uderzył kijem w wilgotny konar na poboczu drogi i mało nie upadł: konar rozsypał się w próchno i kij przeszedł przezeń jak przez cień. Wskoczyło kilka zwinnych szarych zwierzątek i z bulknięciem znikło w ciemnej wodzie.

Nava podskakiwała obok, to wybiegając naprzód, to zostając w tyle. Od czasu do czasu oburącz ujmowała Kandyda za rękę i zawisała na niej, bardzo zadowolona. Mówiła o obiedzie, który tak sprytnie ukryła przed starcem; o tym, że obiad mogłyby zjeść dzięki mrówki, gdyby ona, Nava, nie zrobiła tak, że mrówki nigdy w życiu nie dostaną się do obiadu; o tym, że budziła ją jakaś paskudna mucha i że kiedy ona, Nava, wczoraj wieczorem zasypiała, on, Mruk, już chrapał i we śnie mamrotał jakieś niepojęte słowa, i skąd ty, Mruk, znasz takie słowa, to wprost nie do pojęcia, nikt w naszej wsi nie zna takich słów, ty jeden znasz, i zawsze znałeś, nawet kiedy byłeś zupełnie chory,

to też znałeś...

Kandyd słuchał i nie słuchał, znajome nękające buczenie huczało w jego mózgu, szedł i tępo, wielosłownie myślał, dlaczego nie może przestać myśleć, może to od nie kończących się szczepień, które bez końca trwają na wsi, może od nieustannej gadaniny, a może jeszcze od czegoś innego... A może to jest Skutek tego sennego, jaskiniowego sposobu życia, inaczej mówiąc, wegetacji, która trwa od owych niepamiętnych czasów, kiedy helikopter na pełnym gazie uderzył w niewidzialną przeszkodę, przechylił się, roztrzaskał śmigło i jak kamień runął w bagno... Wtedy właśnie musiało mnie wyrzucić z kabiny, pomyślał. Wtedy wyrzuciło mnie z kabiny, pomyślał po raz tysięczny. Uderzyłem o coś głową i już nie wydobrażam... a gdyby mnie nie wyrzuciło, to utonąłbym w bagnie razem z helikopterem, więc właściwie to dobrze, że mnie wyrzuciło... Nagle olśniło go odkrycie, że rozumuje logicznie, ucieszył się; sądził, że dawno zatracił umiejętność logicznego wnioskowania i potrafi powtarzać tylko jedno: pojutrze, pojutrze...

Spojrzał na Navę. Dziewczynka wisiała na jego lewej ręce, patrzyła w górę i z zapalem opowiadała:

— Wtedy one wszystkie stłoczyły się w jednym miejscu i zrobiło się okropnie gorąco, sam wiesz, jakie one są rozgrzane, a tej nocy w ogóle nie było księżycy. Wtedy mama zaczęła mnie ostrożnie popychać i ja przepelzłam na czworakach pod ich nogami, i mamy już nigdy więcej nie zobaczyłam...

— Nava — powiedział Kandyd — znowu opowiadasz mi tę historię. Już mi ją dziesięć razy opowiadałaś.

— No i co z tego? — zapytała zdziwiona Nava. — Ty jesteś jakiś dziwny, Mruk. Co ja ci jeszcze mogę opowiadać? Więcej nie pamiętam i nie wiem. Przecież nie zacznę ci opowiadać, jak w zeszłym tygodniu razem kopaliśmy piwnicę, bo sam to widziałeś. Co innego, gdybym kopała piwnicę z kimś innym, na przykład i Kaczonogiem albo z Pyskaczem... — Nagle ożywiła się: — A wiesz, Mruk, to nawet ciekawe. Opowiedz mi, jak razem kopaliśmy piwnicę, jeszcze mi o tym nikt nie opowiadał, dlatego że nikt tego nie widział...

Kandyd znowu przestał ją słyszeć. Kołyszac się powoli płynęły z boczem drogi żółtozielone zarośla, ktoś w wodzie sapał i wzdychał, cienkim wyciem przeleciał rój miękkich białawych żuków, z których robi się odurzające nalewki, ścieżka pod stopami czasem była miękka od trawy, to znowu twarda od żwiru i tłuczni. Szare, żółte i zielone plamy, wzrok nie miał się o co zaczepić, nie było co zapamiętywać. Potem ścieżka nagle ostro skręciła na lewo. Kandyd zrobił jeszcze kilka kroków, wzdrygnął się i stanął. Nava zamilkła w pół słowa.

Przy drodze, głową w błocie, leżał ogromny martwiak.

Ręce i nogi miał rozrzucone i paskudnie wykręcone. Leżał na pomiętej, żółkłej od żaru trawie, błady, szeroki, i już z daleka było widać, jak strasznie go bito. Wyglądał jak galareta. Kandyd wyminął martwiaka ostrożnym łukiem. Ogarnął go strach. Walka odbyła się bardzo niedawno — zgniecione pożółkłe źdźbła trawy ożywały w oczach. Kandyd uważnie zbadał wzrokiem ścieżkę. Siadów było wiele, ale Kandyd zupełnie się na nich nie znał, a ścieżka nie opodał znowu ostro skręcała, nie mógł przewidzieć, co ich czekało za zakrętem. Nava ciągle odwracała głowę i spoglądała na martwiaka.

— To nie nasi — powiedziała bardzo cicho. — Nasi tak nie umieją. Kułak ciągle się chwali, ale on też nie umie, tylko macha rękami... A w Osadzie też tak nie umieją...

Wiesz co, może lepiej wracajmy? A jeśli to szkarady? Mówią, że one tu chodzą, rzadko, ale chodzą. Lepiej wracajmy... I po co ty mnie prowadzisz do tej Osady, co to ja Osady nie widziałam, czy co?

Kandyd rozgniewał się. Co to znowu? Sto razy chodził tą drogą i nie napotkał niczego, co warto byłoby zatrzymać w pamięci albo przemyśleć. A teraz właśnie, kiedy jutro trzeba wyruszyć —

nawet nie pojutrze, ale nareszcie jutro! — ta jedyna bezpieczna droga staje się niebezpieczna... Do Miasta można się dostać tylko przez Osadę. Jeżeli do Miasta można w ogóle się dostać, jeżeli Miasto w ogóle istnieje, to droga do niego prowadzi przez Osadę.

Wrócił do martwiaka. Wyobraził sobie, jak Kaczonóg, Kułak i Kusy, bez ustanku gadając, puszczając się i grożąc, stoją nad martwiakiem, a następnie, nie przestając gadać, puszczają się i grozić na wszelki wypadek, zawracając z powrotem na wieś. Kandyd schylił się i wziął martwiaka za nogi. Nogi były jeszcze gorące, ale już nie parzyły, z wysiłkiem zepchnął ciężkie ciało w bagno. Trzęsawisko mlasnęło, zachrypiało i rozwarło się. Martwiak znikł, przez ciemną wodę przebiegły drobne fale i zgasły.

— Nava — powiedział Kandyd — wracaj do wsi.

— Jak mogę wrócić na wieś — rozsądnie powiedziała Nava — jeżeli ty nie wracasz? Co innego gdybyś i ty też wrócił na wieś...

— Przeszaj gadać — powiedział Kandyd. — Natychmiast biegnij na wieś i czekaj na mnie. I z nikim tam nie rozmawiaj.

— A ty?

— Ja jestem mężczyzną — powiedział Kandyd. — I nikt mi nic nie zrobi.

— Zrobi, i to jeszcze jak — powiedziała Nava. — Mówię ci przecież — a jeżeli to są szkarady? Im jest przecież wszystko jedno — kobieta, mężczyzna, martwiak, one i z ciebie zrobią szkaradę, będziesz tu chodził taki straszny, a w nocy będziesz wrastał w drzewo... Jakże ja pójdę sama, kiedy oni może czatują tam, z tyłu?

— Nie ma na świecie żadnych szkarad — niezbyt pewnie powiedział Kandyd. — To tylko głupie gadanie...

Spojrzał za siebie. Tam również był zakręt, a co było za tym zakrętem, tego też nie mógł przewidzieć. Nava coś do niego mówiła nieprzerwanie, spiesznym szeptem, i od tego szeptu robiło się szczególnie nieprzyjemnie. Kandyd ujął mocniej kij.

— Dobrze. Możesz iść ze mną. Tylko trzymaj się blisko i jeśli coś ci każe zrobić, natychmiast masz słuchać. I milcz, milcz, nie otwieraj ust do samej Osady. Idziemy.

Milczeń Nava oczywiście nie umiała. Rzeczywiście trzymała się blisko Kandyda, nie wybiegała naprzód, nie zostawała z tyłu, ale przez cały czas coś tam sobie mruczała pod nosem: najpierw o jakichś szkaradach, potem o piwnicy, potem o Kaczonogu, jak tu z nim była i jak on dla niej zrobił fujarkę... Minęli już niebezpieczny zakręt, następnie minęli jeszcze jeden niebezpieczny zakręt i Kandyd już się trochę uspokoił, kiedy z wysokiej trawy, wprost z bagna, w milczeniu wyszli i zagrodzili im drogę jacyś ludzie.

No tak, ze zmęczeniem pomyślał Kandyd. Ależ ja mam pecha. Przez cały czas mam strasznego pecha. Spod oka spojrzał na Navę. Nava potrząsała głową, twarz jej się zmarszczyła.

— Mruk, nie oddawaj mnie — mamrotała — ja nie chcę iść z nimi. Ja chcę być z tobą, nie oddawaj mnie...

Spojrzał na ludzi. Było ich siedmiu — sami mężczyźni, wszyscy zarośnięci po same oczy i wszyscy z ogromnymi sękatymi kijami. Nietutejsi, i ubrani nie po tutejszemu, w zupełnie inne rośliny. To byli złodzieje.

— No co tak stoicie? — głębokim, potężnym głosem powiedział herszt. — Podejdźcie, my nic złego wam nie zrobimy... Gdybyście byli martwiakami, wtedy oczywiście rozmowa byłaby inna, zresztą w ogóle żadnej rozmowy by nie było, pogłaskalibyśmy was kijami, maczugami, taka byłaby rozmowa... Dokąd idziecie? Do Osady, jak rozumiem Do Osady można, bardzo prosimy. Ty, ojcze, możesz sobie iść. A córkę, rzecz jasna, zostaw nam. I nie martw się, z nami jej będzie lepiej.

— Nie — powiedziała Nava — ja nie chcę iść z nimi. Żebyś sobie wiedział, Mruk, ja nie chcę

iść z nimi, to przecież złodzieje...

Złodzieje zaśmiali się bez jakiegokolwiek złości, zwyczajnie.

— A może przepuściecie nas oboje? — zapytał Kandyd.

— Nie — odparł herszt. — Tak nie można. Tu wszędzie dokoła siedzą martwiaki, zginie marnie twoja córka, zostanie przesławną druhną albo jakimś innym paskudztwem, a to nam na mc, ojczulku, pomyśl sam, jeżeli jesteś człowiekiem, a nie martwiakiem, a do martwiaka wcale nie jesteś podobny, chociaż z drugiej strony wyglądasz trochę dziwnie...

— To przecież jeszcze dziecko — powiedział Kandyd. — Dlaczego chcecie ją skrzywdzić?

Herszt zdziwił się.

— Dlaczego zaraz .krzywdzić? Nie będzie przecież dzieckiem do końca życia, nadejdzie czas — zostanie kobietą, nie jakąś tam przesławną druhną, tylko kobietą...

— On kłamie — powiedziała Nava. — Ty mu nie wierz, Mruk, lepiej prędzej zrób coś, jeśli już mnie tutaj przyprowadziłeś, bo inaczej oni mnie zaraz zabiorą, jak zabrali córkę Kaczonoga, i od tej pory nikt już jej więcej nie widział; ja nie chcę iść z nimi, już lepiej zostanę tą przesławną druhną... Patrz, jacy oni dzicy i wychudzeni, na pewno nawet nie mają co jeść...

Kandyd rozejrzał się bezradnie, potem przyszła mu do głowy myśl, jak sądził, bardzo sprytna.

— Ludzie, posłuchajcie — powiedział prosząco. — Weźcie ze sobą nas dwoje.

Złodzieje zbliżyli się bez pośpiechu. Herszt uważnie obejrzał Kandyda od stóp do głów.

— Nie — powiedział. — Na co nam taki jak ty? Wy, watowi, do niczego się nie nadajecie, żadnej śmiałości nie macie, życie nie wiadomo po co, gołymi rękami można was brać. Nie jesteście nam potrzebny, ojczulku, mówisz nie tak jak wszyscy, nie wiadomo, co z ciebie za człowiek, idź sobie do Osady, a córkę nam zostaw.

Kandyd głęboko westchnął, ujął kij oburącz i cicho powiedział do Navy:

— No, Nava, uciekaj! Uciekaj, nie oglądaj się, ja ich zatrzymam.

Głupio, pomyślał. Że też musiało wypaść tak głupio. Przypomniał sobie galaretowatego martwiaka w ciemnej wodzie i wznosił nad głową kij.

— Ej! — krzyknął herszt.

W siedmiu, popychając się i szczerząc zęby, tłumnie ruszyli naprzód. Jeszcze przez kilka sekund Kandyd słuchał szybkiego stukotu pięt Navy, potem już nie miał do tego głowy. Ogarnął go strach, było mu wstyd, ale strach bardzo szybko minął, ponieważ nieoczekiwanie okazało się, że jedynym godnym przeciwnikiem wśród złodziei jest herszt. Odbijając jego ciosy, Kandyd widział, jak pozostali, groźnie i bezmyślnie wymachując kijami, potracając się wzajemnie i chwiejąc przy każdym zamachu, często przystając, żeby popluć w dłonie. Jeden nagle wrzasnął rozpaczliwie: „Tonę!”, i z hałasem wpadł w błoto; od razu dwóch odrzuciło kije, zaczęli go wyciągać, ale herszt nacierał, stękając i przytupując, póki Kandyd przypadkiem nie trafił go w kolano. Herszt wypuścił kij, syknął i przykucnął. Kandyd odskoczył.

Dwaj złodzieje wyciągali tonącego z błota. Nieszczęśnik ugrzązł solidnie, twarz mu posiniała. Herszt siedział w kucki — i troskliwie oglądał stłuczone kolano. Trzej pozostali złodzieje z podniesionymi kijami tłoczyli się za plecami herszta i też oglądali stłuczenie ponad jego głową.

— Głupiś, ojczulku — powiedział z wyrzutem herszt. — Czy to tak można, kmiotku nieszczęsny... Skąd ty się taki wzięłeś... Nie rozumiesz własnego interesu, żłobie nieociosany?...

Dłużej Kandyd nie czekał. Zawrócił i co sił w nogach pobiegł za Navą. Złodzieje coś za nim wykrzykiwali gniewnie i szyderczo, herszt pohukiwał i ryczał: „Łapać go! Łapać!” Ale nikt nie rzucił się w pogoń i Kandydowi to się bardzo nie spodobało. Czuł rozczarowanie i złość i biegnąc próbował zrozumieć, w jaki sposób ci niezgrabni, niezręczni i dobroduszni ludzie mogą wzbudzać taką groźbę we wsiach i jeszcze w jakiś zagadkowy sposób zabijać martwiaki — waleczne, zwinne i bezlitosne.

Nawę zobaczył bardzo prędko — biegła jakieś trzydzieści kroków przed nim, twardo uderzając o ziemię gołymi piętami. Widział, jak znikła za zakrętem i nagle pojawiła się znowu — teraz pędziła na spotkanie Kandyda — na moment zamarła i pobiegła w bok prosto przez bagno, skacząc z konara na konar, że tylko bryzgi leciały. Kandydowi zamarło serce.

— Stój! — wrzasnął bez tchu. — Zwariowałaś?! Stój!

Nawa natychmiast stanęła, schwyciła zwisającą lianę i odwróciła głowę. Kandyd zobaczył, że zza zakrętu wyszli mu naprzeciw jeszcze trzech złodzieje i też stanęli, patrząc to na niego, to na Nawę.

— Mruk! — przenikliwie krzyknęła Nawa. — Bij ich, a potem biegnij tutaj! Nie utoniesz, nie bój się! Bij ich! Bij! Kijem ich! Uhuuhuu ich! A huzia ich!

— Ej, dziewczyno — powiedział troskliwie któryś złodziej — trzymaj się tam, nie krzycz, tylko się trzymaj, bo spadniesz i wyciągać cię potem...

Za piecami ciężko tupali i też krzyczeli: „Uhuuhuu!” Trzech z przodu czekało. Wtedy Kandyd złapał kij za dwa końce, ustawił go w poprzek piersi i z rozpędem wpadł na złodziei, przewrócił wszystkich trzech i sam upadł. Mocno uderzył w kogoś, ale po sekundzie był już na nogach. Przed oczami wszystko mu płynęło. Znowu ktoś z przerażeniem krzyczał: „Tonę!” Niespodziewanie pojawiła się czyjaś brodata twarz i Kandyd nie patrząc trzasnął w tę twarz kijem. Kij pękł. Kandyd wyrzucił resztę kija i skoczył w bagno.

Konar wyślizgnął mu się spod nóg, Kandyd omal nie upadł, ale natychmiast przeskoczył na następny i dalej już ciężko skakał z konaru na konar, rozbryzgując śmierdzące czarne błoto. Nawa wydawała z siebie zwycięskie piski i świsty. Za plecami huczały gniewne głosy: „Ręce macie dziurawe, pokręcone?”, „A ty sam na co czekasz?”, „Przepadnie teraz dziewczyna, ze szczętem przepadnie”, „Zwariował człowiek, do bicia się bierze, nie widzisz?”, „Ubranie na mnie podarł, coś takiego, takie ubranie, najlepsze, jakie miałem, a on je podarł, zresztą nawet nie on je podarł, tylko ty je podarłeś...”, „Dosyć tego gadania, doprawdy, gonić ich trzeba, a nie gadać... Widzicie, że uciekają, a wy nic, tylko gadacie!”, „A ty sam na co czekasz?”, „Nogę mi rozbił, widzicie? Kolano mi uszkodził, a jak to zrobił — nie rozumiem, ledwie zdążyłem się zamachnąć...”, „A gdzie Siedmiooki? Chłopcy, patrzcie, Siedmiooki tonie!”, „Tonie! A rzeczywiście, tonie... Siedmiooki tonie, a oni nic, tylko gadają!”

Kandyd zatrzymał się obok Navy, też chwycił lianę i ciężko dysząc patrzył i słuchał, jak dziwni ludzie, stłoczeni na drodze, wymachując rękami, wyciągają z błota za nogę i głowę Siedmiookiego. Słyszał było bulgot i rżenie. Zresztą dwaj złodzieje wymacując dno kijami, szli już w stronę Kandyda po kolana w czarnej mazi. Konary obchodzili z daleka. I znowu wszystko okazało się kłamstwem, pomyślał Kandyd. Bagno można przejść w bród, a mówili, że nie ma innej drogi oprócz ścieżki. Straszili złodziejami, też mieli czym straszyć...

Nawa pociągnęła go za rękę.

— Chodźmy, Mruk — powiedziała. — Dlaczego stoisz? Chodźmy prędzej... A może ty jeszcze chcesz się z nimi bić? Jeśli tak, to poczekaj, zaraz ci znajdę dobry kij, wtedy pobijesz tych dwóch, a tamci na pewno się przestraszą. Chociaż jeżeli się nie przestraszą, to pewnie dadzą ci radę, jak myślę, bo ty jesteś jeden, a ich... raz... dwa... trzy., cztery...

— Dokąd mamy iść? — zapytał Kandyd. — Do Osady trafimy?

— Pewnie trafimy — odparła Nawa. — Nie rozumiem, dlaczego nie mamy trafić do Osady...

— W takim razie idź przodem — powiedział Kandyd. Trochę już odsapnął. — Pokazuj drogę.

Nawa lekkimi susami pobiegła w las, w gęstwinę, w zielony cień zarośli.

— Tak naprawdę to ja nie wiem, dokąd mamy iść ani którędy — mówiła biegnąc. — Ale już raz tu byłam, może nawet nie jeden raz, tylko dużo razy. Chodziliśmy tu z Kaczonogiem, kiedy ciebie jeszcze nie było... Albo nie, chyba już byłeś, tylko jeszcze nic nie pamiętałeś, nie rozumiałeś, nie

mogłeś mówić, patrzyłeś na wszystkich jak ryba, potem dali mi ciebie, ja cię pielęgnowałam, tylko że ty pewnie w ogóle tego nie pamiętasz...

Kandyd skakał za nią, starając się rytmicznie oddychać i trafiać w jej ślady. Od czasu do czasu odwracał głowę. Złodzieje byli niedaleko.

— A z Kaczonogiem przychodziliśmy tutaj — mówiła dalej Nava — kiedy złodzieje zabrali Kułakowi żonę, córkę Kaczonoga. On mnie wtedy ciągle ze sobą zabierał, wymienić chciał albo co, a może chciał trzymać mnie zamiast córki i dlatego chodził ze mną do lasu, bo bez córki było mu okropnie smutno...

Liany przyklejały się do rąk, biły po twarzy, martwe zwoje przywierały do ubrania i plątały się pod nogami. Z góry spadały owady, liście, czasem jakaś ciężka bezkształtna masa osiadała, opadała w dół, w splątane zielsko, zwisała tuż nad głową. To z prawej, to z lewej strony przez kurtynę lian prześwitywały lepkie liliowe grona — ni to grzyby, ni to owoce, ni to gniazda czegoś odrażającego.

— Kaczonóg mówił, że tu gdzieś blisko jest jedna wieś... — Nava bez trudu mówiła biegnąc, jakby w ogóle nie biegła, tylko leżała w łóżku; od razu było widać, że nie jest tutejsza, tutejsi nie umieli biegać. — Nie nasza wieś, ani nie Osada, ale jakaś inna, Kaczonóg mówił, jak się nazywa, ale zapomniałam, to było już bardzo dawno, jak jeszcze ciebie nie było... Albo nie, ty już byłeś, tylko nic nie rozumiałeś i jeszcze mi ciebie nie oddali... A ty, kiedy biegniesz, oddychaj ustami, niepotrzebnie oddychasz nosem, jeszcze dobrze jest jednocześnie rozmawiać, bo tak jak teraz, to się szybko zmęczysz, a my jeszcze długo będziemy biegli, jeszcze nie przebiegliśmy obok os, tam to dopiero będziemy musieli biec ze wszystkich sił, chociaż może od tamtego czasu osy się stąd wyniosły... To właśnie w tej wsi były osy, Kaczonóg mówi, że tam ludzi już dawno nie ma, tam już się odbyło, mówi, Przewyciężenie i już ani jeden człowiek nie pozostał... Nie, pomyliłam się, on opowiadał o innej wsi...

Kandyd złapał długi oddech i biegł teraz łatwiej. Byli już w największej gęstwinie, w zaroślach. Tak głęboko w lesie Kandyd był tylko raz, kiedy próbował pojechać na ramionach martwiaka, żeby trafić do jego gospodarzy. Martwiak ruszył galopem, oczywiście był rozpalony jak kipiący czajnik i w końcu Kandyd stracił z bólu przytomność i spadł z martwiaka w błoto. Długo potem bolały go oparzenia na piersi i rękach...

Robiło się coraz ciemniej. Nieba już w ogóle nie było widać, duszny upał wzrastał. Coraz mniej było otwartej wody, zaczęły się pojawiać potężne kolonie czerwonego i białego mchu. Mech był chłodny, miękki, niezwykle sprężysty — bardzo przyjemnie było po nim stąpać.

— Wiesz co... odpocznijmy... — wychrypiął Kandyd.

— Co ty mówisz, Mruk — powiedziała Nava.. — Tu nie możemy odpoczywać. Od tego mchu trzeba szybko jak najdalej uciekać, to niebezpieczny mech. Kaczonóg mówił, że to w ogóle nie jest mech, to takie zwierzę leży na ziemi, coś w rodzaju pająka, zaśniesz na nim i już więcej nigdy się nie obudzisz, taki właśnie jest ten mech, niech na nim złodzieje odpoczywają; tylko że oni pewnie wiedzą, że nie można, a szkoda, dobrze by było, gdyby nie wiedzieli...

Spojrzała na Kandyda i jednak przestała biec. Kandyd dowlókł się do najbliższego drzewa, plecami i karkiem, całym ciężarem oparł się o pień i zamknął oczy. Pragnął nade wszystko usiąść, upaść, ale się bał. Powtarzał w myśli: To na pewno lipa, i z tym mchem lipa. Ale bał się pomimo wszystko. Serce biło jak oszalałe, nóg nie czuł w ogóle, a płuca pękały i boleśnie rozplywały się w klatce piersiowej przy każdym oddechu, cały świat był słony i oślizgły od potu.

— A jeżeli oni nas dogonią? — usłyszał jak przez watę głos Navy. — Go my zrobimy, Mruk, jeśli oni nas dogonią? Ty, nie wiem czemu, zrobiłeś się całkiem do niczego, chyba nawet bić się już nie będziesz mógł, prawda?

Będę mógł, chciał odpowiedzieć, ale tylko poruszył wargami. Już się nie bał złodziei. W ogóle

nie bał się już niczego. Bał się tylko poruszyć, bał się położyć na mchu. Jednak to był las, wbrew wszystkim kłamstwom to był las, to akurat dobrze pamiętał, o tym nigdy nie zapomniał, nawet wtedy kiedy zapomniał o wszystkim innym.

— Nawet kija teraz nie masz — mówiła Nava. — Może poszukać ci jakiegoś kija, Mruk? Poszukać?

— Nie — wymamrotał Kandyd. — Nie trzeba... Ciężki,,

Otworzył oczy i zaczął nadśluchować. Złodzieje byli blisko, słyszeć było, jak sapią i tupią w zaroślach, i w tym tupocie nie było żadnej zwawości — złodzieje również się zmęczeni.

— Chodźmy dalej — powiedział Kandyd.

Minęli strefę białego niebezpiecznego mchu, potem strefę czerwonego niebezpiecznego mchu, znowu zaczęło się mokre błoto o nieruchomych okach gęstej wody, po które] pływały gigantyczne blade kwiaty, nieprzyjemnie pachnące mięsem. Z każdego kwiatka wyzierało szare nakrapiane stworzenie i odprowadzało ich długim spojrzeniem szypułkowatych oczu.

— Ty, Mruk, musisz mocno stawiać nogi — rzeczowo pouczała Nava — bo inaczej, jak coś się przyssie, to potem nie oderwiesz, nie myśl, że jeśli ciebie szczepili, to już nic się nie przyssie, przyssie się, i jak jeszcze. Potem ono naturalnie zdechnie, ale tobie od tego wcale nie będzie lepiej...

Błoto nagle się skończyło i teren stromo poszedł w górę. Rosła tu wysoka pasiasta trawa o ostrych brzegach. Kandyd obejrzał się i zobaczył złodziei. Nie wiadomo dlaczego przystanęli. Nie wiadomo dlaczego stali po kolana w błocie, wsparci na kijach, i patrzyli w ślad za nimi. Nie mają już sił, pomyślał Kandyd, też już nie mają sił. Jeden ze złodziei uniósł rękę, zrobił zapraszający gest i zawołał:

— Schodźcie na dół, na co czekacie?

Kandyd odwrócił się i poszedł za Navą. Po przejściu trzęsawiska po twardym gruncie szło się lekko nawet pod górę. Złodzieje coś krzyczeli na dwa, a potem na trzy głosy. Kandyd obejrzał się po raz ostatni. Złodzieje nadal stali w błocie, w mazi pełnej pijawek, nawet nie wyszli aa suchy brzeg. Widząc, że się obejrzał, rozpaczliwie zamachali rękami, krzyczeli coś jeden przez drugiego — słowa trudno było zrozumieć.

— Wracajcie! — krzyczeli, zdaje się. — Wracajcie!! Nie ruszymy was! Zginiecie! Dumie!

To nie takie proste, pomyślał Kandyd ze złośliwą radością. Sami jesteście durnie, już się rozpędziłem, żeby wam uwierzyć. Dostyc tego wierzenia wszystkim... Nava już znikła za drzewami, Kandyd pośpieszył za nią.

— Wra-a-a-acajcie! Puścimy wolno! — ryczał herszt. Nie byli znowu tacy zmęczeni, jeżeli mogli tak ryczeć, mimochodem pomyślał Kandyd i od razu zaczął myśleć, że teraz trzeba odejść jak najdalej, a potem usiąść, odpocząć i poszukać pijawek i kleszczy.

ROZDZIAŁ 3

Wieś była bardzo dziwna. Kiedy Nava i Kandyd wyszli z lasu i zobaczyli ją w dole, w kotlinie, zaskoczyła ich cisza. Cisza była taka, że nawet się nie ucieszyli. Wieś miała kształt trójkąta; wielka polana, na której stały domy, też była trójkątna — ogromna łysa równina bez jednego krzaczka, bez jednej trawki, jakby wypalona, a potem udeptana, ciemna, odgradzona od nieba zrośniętymi koronami potężnych drzew.

— Nie podoba mi się ta wieś — oznajmiła Nava. — Tu na pewno nie doprosimy się o jedzenie. Jakże tu może być jedzenie, skoro oni nawet pola nie mają, wszędzie tylko goła glina, na pewno to są myśliwi, oni łapią różne zwierzęta i zjadają je, aż mdło się robi na samą myśl...

— A może trafiliśmy do wsi cudaków? — zapytał Kandyd. — Może to jest Gliniana Polana?

— Jak to może być wieś cudaków? Wieś cudaków to zwyczajna wieś, jak nasza, tylko mieszkają w niej cudaki..., A tu — zobacz, jaka cisza, ani ludzi nie widać, ani dzieci, chociaż dzieci to już pewnie poszły spać... Dlaczego ludzi nie widać, jak myślisz, Mruk? Wiesz co, nie wchodźmy do tej wsi, ona mi się bardzo nie podoba...

Słońce zachodziło i wieś w dole pogrążała się w mroku. Wydawała się bardzo pusta, ale nie zanedbana, nie opuszczona, nie porzucona, tylko właśnie pusta, jakby to nie była wieś, lecz dekoracja. Tak, pomyślał Kandyd, zapewne nie powinniśmy tam iść, tylko że strasznie boją nogi i bardzo chciałbym znaleźć się pod dachem. I zjeść choćby cokolwiek. A noc nadciąga... Tak przykro, cały dzień błądzimy po lesie, nawet Nava jest zmęczona, wisi na moim ramieniu, nie puszcza.

— Dobrze — powiedział niezdecydowanie. — Nie wejdziemy do wsi.

— Nie wejdziemy, nie wejdziemy — powiedziała Nava. — A jeżeli ja jestem głodna? Jak długo można nie jeść? Od rana nic nie jadłam... I ci twoi złodzieje... Wiesz, jaki mam po nich apetyt. Nie, wiesz co, lepiej zejdziemy w dół, zjemy, a jeśli nam się tam nie spodoba, wtedy od razu odejdziemy. Dzisiejsza noc będzie ciepła, bez deszczu... Chodźmy, dlaczego nie idziesz?

Od razu na skraju wsi ktoś ich zawołał. Obok pierwszego domu, na szarej ziemi siedział szary, prawie zupełnie nie ubrany człowiek. Było go bardzo niewyraźnie widać w półmroku, prawie dokładnie stapiał się z ziemią, Kandyd widział tylko jego sylwetkę na tle białawej ściany.

— Dokąd idziecie? — zapytał słabym głosem człowiek.

— Chcemy przenocować — odpowiedział Kandyd. — A rano chcemy iść do Osady. Zgubiliśmy drogę. Uciekaliśmy przed złodziejami i zgubiliśmy drogę.

— To znaczy, że przyszliście sami? — zapytał człowiek ospale. — To bardzo dobrze, to się wam chwali... Wchodźcie, wchodźcie, bo roboty jest dużo, a ludzi, nie wiadomo dlaczego, jakoś coraz mniej... — ledwie wymawiał słowa, jakby zasypiając. — A pracować trzeba... bardzo trzeba pracować, bardzo...

— Dasz nam coś do jedzenia? — zapytał Kandyd.

— U nas teraz... — człowiek powiedział kilka słów, które Kandydowi wydały się znajome, chociaż wiedział, że nigdy ich nie słyszał. — To dobrze, że chłopczyk przyszedł z tobą, bo chłopczyk... — i znowu niepojęte, dziwaczne słowa.

Nava pociągnęła Kandyda, ale Kandyd z irytacją wyszarpnął rękę.

— Nie rozumiem, co mówisz — powiedział do człowieka, starając się chociażby lepiej mu się przyjrzeć. — Powiedz mi, czy masz coś do jedzenia?

— Gdyby choć trzech... — powiedział człowiek.

Nava pociągnęła Kandyda ze wszystkich sił i oboje odeszli na bok.

— Chory czy co? — gniewnie zapytał Kandyd. — Ty przynajmniej zrozumiałaś, co on tam mruczy?

— Po co z nim rozmawiasz? — szeptem zapytała Nava. — Przecież on nie ma twarzy! Jak z nim można rozmawiać, kiedy on nie ma twarzy?

— Jak to, nie ma twarzy? — zdziwił się Kandyd i odwrócił głowę. Człowieka nie było widać, może sam odszedł, może roztajał w mroku.

— A tak — odparła Nava. — Są oczy, są usta, ale twarzy nie ma... — nagle przytuliła się do Kandyda. — On jest jak martwiak — powiedziała. — Tylko że to nie martwiak, on śmierdzi, ale cały jest jak martwiak... Chodźmy do jakiegoś innego domu, tylko że jeść nam tu nie dadzą, nawet nie liczą na to.

Pociągnęła go do następnego domu; ostrożnie zajrzeli do środka. Wszystko w domu wyglądało niezwykle, nie było pościeli, nie było zapachu domostwa, tylko ciemna, niemiła pustka. Nava wciągnęła nosem powietrze.

— Tu nigdy nie było żadnego jedzenia — powiedziała z obrzydzeniem. — Do jakiejś bardzo głupiej wsi zaprowadziłeś mnie, Mruk. Co my tu będziemy robić? Nigdy w życiu nie widziałam takich wsi. Ani dzieci nie krzyczą, ani na ulicy nie ma nikogo.

Poszli dalej. Pod stopami mieli chłodny pył, nie słyszeli nawet własnych kroków, a w lesie nie jęczało ani nie bulgotało, chociaż był już wieczór.

— On jakoś dziwnie mówił — powiedział Kandyd. — Teraz, jak sobie przypominam, to zdaje mi się, że już kiedyś słyszałem takie słowa... Ale gdzie i kiedy — nie pamiętam...

— Ja też nie pamiętam — powiedziała Nava po chwili milczenia. — A przecież masz rację, Mruk, ja też słyszałam takie słowa, może we śnie, a może w naszej wsi, nie w tej, gdzie teraz mieszkamy, w innej, w tej, w której się urodziłam; tylko że jeśli tak, to musiało to być bardzo dawno, bo ja byłam jeszcze bardzo mała i od tego czasu wszystko zapomniałam, a teraz jakby mi się przypomniało, ale w żaden sposób nie mogę sobie naprawdę przypomnieć.

W następnym domu zobaczyli człowieka, który leżał tuż za progiem, na gołej podłodze, i spał. Kandyd pochylił się nad nim, potrząsnął go za ramię, ale człowiek się nie obudził. Skórę miał wilgotną i zimną jak amfibia, był tłusty, miękki i prawie całkowicie pozbawiony muskułów, jego wargi w mroku wydawały się czarne i lśniły oleiście.

— Śpi — powiedział Kandyd do Nawy.

— Jak to śpi — zapytała Nava — kiedy patrzy?

Kandyd ponownie schylił się nad człowiekiem; wydało mu się, że tamten naprawdę patrzy spod odrobiny uniesionych powiek. Ale tylko się wydało.

— Ależ nie, on śpi — powiedział Kandyd. — Chodźmy.

Wbrew zwyczajowi Nava milczała.

Dotarli do środka wsi zaglądając do każdego domu i w każdym domu widzieli śpiących. Wszyscy śpiący to byli tłuści, spoceni mężczyźni, nie było ani jednej kobiety, ani jednego dziecka. Nava w ogóle zamilkła, Kandyd też czuł się bardzo nieswojo. Śpiącym przeważnie burczało w brzuchach, nie budzili się, ale za każdym razem, kiedy Kandyd wychodząc spoglądał na nich, miał wrażenie, że odprowadzają go szybkie, ostrożne spojrzenia. Było już zupełnie ciemno, a w szpary między koronami drzew zaglądało niebo popielate od księżycowego światła; Kandyd znowu pomyślał, że wszystko to bardzo przypomina dekoracje w dobrym teatrze. Ale czuł, że jest zmęczony do ostatecznych granic, do całkowitego zubożenia. Marzył tylko o jednym — położyć się gdzieś pod dachem (żeby wtedy, kiedy będzie spał, nie spadło mu na głowę jakieś nocne paskudztwo), choćby na twardej, udeptanej podłodze, ale jednak lepiej w pustym domu, nie razem z tymi podejrzanie śpiącymi. Nava całym ciężarem wisiała mu na ramieniu.

— Nie bój się — powiedział Kandyd. — Tu naprawdę nie ma się czego bać.

— Mówiłeś coś? — zapytała sennie.

— Mówiłem: nie bój się, to przecież półtrupcy, ja ich jedną ręką załatwię.

— Ja nikogo się nie boję — powiedziała Nava gniewnie. — Jestem zmęczona i chce mi się spać, skoro już nie dajesz mi jeść. A ty ciągle chodzisz i chodzisz, od domu do domu, to nudne, we wszystkich domach wszystko jest jednakowe, wszyscy ludzie już leżą, odpoczywają, tylko my chodzimy i chodzimy...

Wtedy Kandyd zdecydował się i wszedł do pierwszego lepszego domu. W środku było kompletnie ciemno. Kandyd przez chwilę nadśluchiwał próbując stwierdzić, czy jest tam ktoś, czy też nie, ale słyszał tylko ciche posapywanie Navy, która oparła głowę na jego boku. Po omacku znalazł ścianę, przesunął dłonią po podłodze, żeby sprawdzić, czy jest sucho, i położył się, kładąc głowę Navy na swoim brzuchu. Nava już spała. Żeby potem nie żałował, pomyślał, nie podoba mi się tutaj... tylko jedna noc... potem zapytać o drogę... w dzień chyba nie śpią... ostatecznie — z powrotem na bagno... złodzieje już sobie poszli... Jak tam chłopcy w Osadzie? Czy naprawdę znowu pojutrze?... Nie, co to, to nie, jutro... jutro...

Obudziło go światło i pomyślał, że to księżyc. W domu było ciemno, liliowy blask wpadał przez okno i drzwi. Zainteresowało go, jak światło księżyca może wpadać jednocześnie przez okno i drzwi naprzeciwko, ale potem zrozumiał, że jest w lesie, że prawdziwego księżyca tu nie ma i być nie może, i od razu o tym zapomniał, bo w smudze wpadającego przez okno światła zobaczył sylwetkę człowieka. Człowiek był tu, w domu, stał tyłem do Kandyda i patrzył w okno, widać było, że stoi trzymając ręce z tyłu, z głową pochyloną, tak nigdy nie stoją mieszkańcy lasu — nie mają po prostu żadnego powodu, żeby tak stać, tak jak lubił stać w oknie laboratorium w czasie deszczu i mgły, kiedy nie można było pracować, Carl Ettinhof. Kandyd z przeraźliwą jasnością zrozumiał, że to jest właśnie Carl Ettinhof, który kiedyś dawno poszedł na chwilę do lasu, już więcej nie wrócił i został uznany za zaginionego bez wieści. Zabrakło mu tchu, krzyknął: „Carl!” Carl odwrócił się powoli. Liliowe światło musnęło jego twarz; Kandyd zobaczył, że to nie Carl, tylko jakiś nie znany mu człowiek z lasu; człowiek ten bezszelestnie podszedł do Kandyda, pochylił się nad nim, wciąż trzymając ręce splecione na plecach, jego twarz było teraz widać dokładnie i wyraźnie — wycieńczona blada twarz bez zarostu, niczym nie przypominająca twarzy Carla. Człowiek nie powiedział ani słowa, zdaje się, że w ogóle nie zauważył Kandyda, wyprostował się, poszedł do drzwi, z rękami do tyłu, przygarbiony; wtedy Kandyd zrozumiał, że to jednak Carl, zerwał się na nogi i wybiegł za nim.

Za drzwiami przystanął, spojrzął na ulicę starając się opanować chorobliwe, nerwowe dreszcze, które nim trzęsły. Było bardzo jasno, ponieważ nisko nad wsią zwisało liliowe świecące niebo, wszystkie domy wyglądały dwuwymiarowo i nieprawdziwie, a na ukos, po drugiej stronie ulicy wznosiła się dziwaczna długa budowla, jakich w lesie nie bywa, wokół niej zaś tłoczyli się ludzie. Człowiek podobny do Carla szedł samotnie w kierunku tej budowli, wszedł w tłum, zmieszał się z nim, znikł w tłumie, jakby nigdy nie istniał. Kandyd też chciał podejść do budowli, ale poczuł, że nogi ma jak z waty i że w ogóle nie może chodzić. Zdziwiło go, że jeszcze potrafi stać na takich nogach; z lęku, że upadnie, chciał się za coś złapać, ale nie było za co, otaczała go pustka. „Carl — mamrotał słaniając się — Carl, wróć!” Powtórzył te słowa kilkakrotnie, potem w rozpaczy je wykrzyknął, ale nikt go nie usłyszał, bo w tejże sekundzie rozległ się krzyk głośniejszy — żałosny i dziki krzyk niekłamane bólu — aż zaświdrowało mu w uszach, aż łyzy stanęły w oczach; nie wiadomo dlaczego zrozumiał, że ktoś krzyczy właśnie w tej długiej budowli, może dlatego, że więcej nie było gdzie krzyczeć. „Gdzie Nava? — krzyknął. — Dziecko moje, gdzie jesteś?” Zrozumiał, że zaraz ją utraci, że nadeszła owa chwila, że zaraz utraci wszystko, co mu drogie, wszystko, co go wiąże z życiem, i że zostanie sam. Zawrócił, żeby biec z powrotem do domu, i zobaczył Navę, która z głową odrzuconą do tyłu powoli padała na wznak; podchwycił ją, uniósł na

rękach nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. Głowę miała odrzuconą do tyłu, widział jej nagą szyję, to miejsce, gdzie wszyscy ludzie mają wgłębienie między obojczykami; Nava miała dwa takie wgłębienia, a on, Kandyd, już nigdy więcej ich nie zobaczy. Przecież płacz nie ustał i wiedział, że musi iść tam, gdzie płaczą. Dobrze wiedział, że to jest prawdziwe bohaterstwo, przecież on zanieś ją tam na własnych rękach, ale wiedział także, że dla nich to nie jest żadne bohaterstwo, tylko absolutnie naturalna procedura, bo oni nie wiedzieli, co to znaczy trzymać w ramionach córkę ciepłą i jedyną i samemu zanieść ją tam, gdzie płaczą. Krzyk umilkł. Kandyd zobaczył, że stoi już przed samą budowlą, wśród tych ludzi, przed kwadratowymi czarnymi drzwiami; spróbował uprzytomnić sobie, co on tu robi z Navą na rękach, ale nie zdążył, bo z czarnych kwadratowych drzwi wyszły dwie kobiety, a z nimi Carl, wszyscy troje byli posępni i niezadowoleni, na moment zatrzymali się, żeby porozmawiać. Kandyd widział, jak poruszają się ich wargi, domyślał się, że trwa jakiś spór, że są zirytowani, ale nie rozumiał słów i tylko raz dotarło do niego na wpół znajome słowo „chiazma”. Potem jedna z kobiet, nie przerywając rozmowy, odwróciła się do tłumu i zrobiła ręką gest, jakby zapraszając wszystkich do wnętrza budowli. Kandyd powiedział: „Za chwilę...”, i jeszcze mocniej przytulił do siebie Navę. Znowu rozległ się głośny płacz, wszyscy wokół poruszyli się, tłuszczy ludzie zaczęli się obejmować, tulić do siebie, głaskać i pieścić, oczy ich były suche, wargi mocno zaciśnięte, ale to właśnie oni krzyczeli i płakali, bo, jak się okazało, byli to mężczyźni i kobiety, a mężczyźni zegnali się z kobietami na zawsze. Nikt nie mógł się zdecydować pójść pierwszy i wtedy pierwszy poszedł Kandyd, ponieważ był naprawdę dzielnym człowiekiem i wiedział, co to znaczy „trzeba”; ponieważ wiedział, że i tak nic nie pomoże. Ale Carl spojrzął na niego i ledwie dostrzegalnie potrząsnął głową, a Kandydowi zrobiło się niewypowiedzianie straszno, ponieważ to jednak był Carl; zrozumiał, cofnął się, roztrzaskując palcami to miękkie i śliskie, co napierało z tyłu. A kiedy Carl znowu potrząsnął głową, Kandyd zawrócił, zarzucił sobie Navę na ramię i jak we śnie pobiegł na niepewnych, chwiejnych nogach jasno oświetloną ulicą i nie usłyszał za sobą pogoni.

Oprzytomniał, kiedy wpadł na drzewo. Nava krzyknęła i Kandyd położył ją na ziemi. Pod stopami była trawa.

Widać stąd było całą wieś. Nad wsią zwisał liliowy świetlisty stożek mgły, domy wydawały się rozmyte i rozmyte wydawały się figurki ludzi.

— Ja chyba nic nie pamiętam — powiedziała Nava. — Dlaczego tu jesteśmy? Przecież już położyliśmy się spać. A może to mi się śni?

Kandyd podniósł ją i poszedł dalej; brnąc przez krzaki, grzęznąc w trawie, szedł, dopóki wokół nie zrobiło się całkiem ciemno. Wtedy jeszcze przez jakiś czas szedł, znowu położył Navę na ziemi i usiadł obok niej. Dookoła rosła wysoka, ciepła trawa, ani trochę nie wilgotna; nigdy jeszcze Kandyd nie trafił w lesie na tak suche i przyjemne miejsce. Bolała go głowa, walczył ze snem i o niczym nie chciał mu się myśleć, czuł tylko ogromną ulgę, że miał zamiar zrobić coś bardzo okropnego i że jednak tego nie zrobił.

— Mruk — powiedziała Nava sennym głosem. — Wiesz, Mruk, ja sobie przypomniałam, gdzie słyszałam przedtem takie słowa. Tak ty sam mówiłeś, kiedy jeszcze leżałeś nieprzytomny. Słuchaj, Mruk, a może ty urodziłeś się w tej wsi? Może po prostu zapomniałeś? Ty przecież byłeś wtedy bardzo chory, Mruk, zupełnie nieprzytomny...

— Śpij — powiedział Kandyd. — Nie chciało mu się myśleć. O niczym nie chciało mu się myśleć. „Chiazma”, przypomniał sobie. I natychmiast zasnął. Niezupełnie natychmiast. Przypomniał sobie jeszcze, że to nie Carl zaginał bez wieści; bez wieści zaginał Walentyn i komunikat był o Walentynie, a Carl zginął w lesie i jego ciało, przypadkiem odnalezione, włożono do ocynkowanej trumny i przewieziono na kontynent. Ale Kandyd pomyślał, że to wszystko mu się śni.

Kiedy otworzył oczy, Nava jeszcze spała. Leżała na brzuchu w zagłębieniu między dwoma korzeniami, twarz wtuliła w zgięcie lewej ręki, a prawą odrzuciła w bok; Kandyd zauważył w jej brudnej, na wpół otwartej pięści cienki błyszczący przedmiot. Początkowo nie zrozumiał, co to takiego, i nagle przypomniał sobie dziwny nocny półsen, swój strach, ulgę spowodowaną tym, że nie stało się to straszne, co się stać miało. A potem dotarło do niego, co to za przedmiot, i nawet jego nazwa nieoczekiwanie wypłynęła z pamięci. To był skalpel. Odczekał jeszcze chwilę, sprawdzając zgodność formy przedmiotu z dźwiękiem tego słowa, zdając sobie podświadomie sprawę, że nie ma tu czego sprawdzać, że wszystko się zgadza, chociaż jest absolutnie niemożliwe, ponieważ skalpel przez swój kształt i swoją nazwę był straszliwie sprzeczny z tym światem. Kandyd obudził Navę.

Nava otworzyła oczy, usiadła i natychmiast zaczęła mówić:

— Jak tu sucho, nigdy w życiu nie myślałam, że w ogóle są takie suche miejsca, i jak na takim suchym miejscu może rosnąć trawa, co, Mruk?... — Umilkła, podniosła do oczu pięść ze skalpelem. Sekundę patrzyła na skalpel, potem wrzasnęła, odrzuciła go gwałtownie i poderwała się na nogi. Skalpel stanął sztorcem, wbity w trawę. Oboje patrzyli na stalowy przedmiot, sparaliżowani strachem. — Co to było, Mruk? — zapytała wreszcie Nava szeptem. — Jaki przerażający... A może to nie jest przedmiot? A może to roślina? Patrz, jak tu wszędzie sucho — może tu takie rosną?

— Dlaczego przerażający? — zapytał Kandyd.

— Jeszcze jak przerażający — powiedziała Nava. — Weź go do ręki... Spróbuj, spróbuj, weź go do ręki, a wtedy będziesz wiedział, dlaczego przerażający... Ja sama nie wiem, dlaczego.

Kandyd wziął skalpel. Skalpel był jeszcze ciepły i kiedy się po nim ostrożnie przesunęło palec, można było wyczuć to miejsce, w którym przestawał być ciepły i stawał się zimny.

— Gdzieś ty go znalazła? — zapytał Kandyd.

— Nigdzie go nie znalazłam — odparła Nava. — Na pewno on sam włożył mi do ręki, kiedy spałam. Widzisz, jaki zimny? Na pewno chciał się rozgrzać i włożył mi do ręki. Nigdy nie widziałam takich... takiego... nawet nie wiem, jak to nazwać. To chyba z pewnością nie jest roślina, z pewnością to jest jakieś zwierzę, może on nawet ma nogi, tylko je schował, taki jest twardy i zły... A może my jeszcze ciągle śpimy, co, Mruk? — Nagle zająknęła się i spojrzała na Kandyda. — Czy myśmy nocowali we wsi? Przecież nocowaliśmy, tam był jeszcze ten człowiek bez twarzy i on myślał, że ja jestem chłopcem... A my szukaliśmy miejsca do spania... Tak, a potem, jak się obudziłam, ciebie nie było, pomacałam ręką... I wtedy on mi włożył w rękę! — powiedziała. — Tylko wiesz, co jest bardzo dziwne, Mruk, ja go wtedy w ogóle się nie bałam, nawet przeciwnie... Był mi nawet do czegoś potrzebny...

— To był tylko sen — kategorię powiedział Kandyd. Ciarki mu przeszły po grzbiecie. Przypomniał sobie wszystko, co było tej nocy. I Carla. I jak on niedostrzegalnie pokręcił głową — uciekaj, pókiś cały. I to, że żywy Carl był chirurgiem.

— Dlaczego zamilkłeś, Mruk? — z niepokojem zapytała Nava zaglądając mu w twarz. — Na co ty patrzysz?

Kandyd odsunął ją.

— To był sen — powtórzył surowo. — Zapomnij. Lepiej poszukaj czegoś do jedzenia, a ja ten przedmiot zakopię.

— A do czego był mi potrzebny, nie wiesz? — zapytała Nava. — Coś miałam nim zrobić... — potrząsnęła głową. — Wiesz, ja nie lubię takich snów — powiedziała. — Nic sobie nie mogę przypomnieć. Zakop to głęboko, bo inaczej wylezie i znowu ucieknie do wsi, i kogoś tam nastraszy... Dobrze byłoby przycisnąć go jakimś ciężkim kamieniem... No, to ty go zakopuj, a ja pójdę szukać jedzenia. — Pociągnęła nosem. — Gdzieś tu blisko są jagody. Bardzo dziwne, skąd

jagody w takim suchym miejscu?

Lekko i bezszelestnie pobiegła po trawie, a Kandyd siedział i nadal trzymał skalpel na dłoni. Nie zamierzał go zakopać. Owinął ostrze pęczkiem trawy i schował skalpel za pazuchę. Teraz przypomniał sobie wszystko, niemniej jednak nadal nic nie mógł zrozumieć. To był jakiś dziwny i straszny sen, z którego na skutek czyjś niedopatrzienia wypadł skalpel. Szkoda, pomyślał, mam dziś wyjątkowo jasny umysł, a jednak nic nie mogę zrozumieć. To znaczy, że już nigdy nie zrozumie.

Nava powróciła szybko i wyjęła z zanadru sporo jagód oraz kilka dużych grzybów.

— Tam jest ścieżka, Mruk — powiedziała. — Wiesz co, lepiej nie wracajmy do tej wsi, po co nam ta wieś, niech sobie stoi... lepiej pójdziemy sobie tą ścieżką i z pewnością dokądś zajdziemy. Zapytamy o drogę do Osady i wszystko będzie dobrze. Nie masz pojęcia, jak bym chciała już być w Osadzie, nigdy jeszcze tak bardzo nie chciałam. A do tej podstępnej wsi lepiej nie wracajmy, mnie się od razu tam nie spodobało, bardzo słusznie odeszliśmy stamtąd, bo inaczej na pewno stanie się z nami coś złego. Jeśli chcesz wiedzieć, to w ogóle nie trzeba było tam chodzić, przecież krzyczeli do ciebie złodzieje, żebyś nie szedł, że zginiesz, ale ty nigdy nikogo nie słuchasz. No i przez ciebie o mało nie spotkało nas nieszczęście... Dlaczego nie jesz? Grzyby są świeże, jagody smaczne, rozetrzyj je na dłoni, pokrusz, zachowujesz się dzisiaj jak małe dziecko. Teraz sobie przypominam, mama mi zawsze mówiła, że najlepsze grzyby rosną tam, gdzie jest sucho, ale ja wtedy nie rozumiałam, co to znaczy sucho, mama mówiła, że dawniej w wielu miejscach było sucho, jak na dobrej drodze, mama jeszcze pamiętała, ale ja wtedy nie rozumiałam...

Kandyd skosztował grzyba i zjadł go. Grzyby rzeczywiście były dobre, i jagody były dobre, Kandyd poczuł się różnie. Ale nie wiedział jeszcze, jak teraz postąpić. Wracać na wieś nie miał ochoty. Spróbował wyobrazić sobie teren, jak mu objaśniał i rysował patykiem na ziemi Kaczonóg, i przypomniał sobie, że Kaczonóg mówił o drodze do Miasta, która właśnie tędy powinna prowadzić. „Bardzo dobra droga, mówił Kaczonóg z żalem, najlepsza droga do Miasta, szkoda tylko, że nie da się przejść przez bagno...” Łgał, łgał, kuternoga. I po mokradłach chodził, i w Mieście na pewno był, ale z niewiadomego powodu łgał. A może ta ścieżka Navy to właśnie ta najkrótsza droga? Trzeba zaryzykować. Ale na początek trzeba jednak wrócić. Do tej wsi trzeba jednak wrócić...

— Jednak będziemy musieli wrócić, Nava — powiedział, kiedy zjedli.

— Dokąd wrócić? Wrócić do tej podstępnej wsi? — Nava straciła humor. — Dlaczego mówisz takie rzeczy, Mruk? Po co mamy tam wracać? Za to właśnie cię nie lubię, te z tobą nigdy nie można dogadać się po ludzku... Przecież postanowiliśmy, że nie wrócimy do tej wsi już nigdy, a teraz znowu zaczynasz...

— Trzeba będzie wrócić — powtórzył Kandyd. — Mnie samemu bardzo się nie chce, Nava, ale musimy tam iść. Może tam nam powiedzą, jak stąd najszybciej trafić do Miasta.

— Dlaczego do Miasta? Ja nie chcę iść do Miasta, ja chcę do Osady.

— Pójdziemy prosto do Miasta — powiedział Kandyd. — Ja już dłużej nie mogę.

— No, dobrze — powiedziała Nava. — Dobrze, pójdziemy do Miasta, to nawet lepiej, czego mamy szukać w tej Osadzie? Chodźmy do Miasta, zgadzam się, z tobą wszędzie się zgadzam iść, tylko wiesz co, nie wracajmy już do tej wsi... Ty jak tam sobie chcesz, Mruk, ale ja za nic bym już do tej wsi nie wróciła...

— Ja też — powiedział Kandyd. — Ale trzeba. Nie gniewaj się, Nava, przecież ja sam nie mam ochoty...

— Jeśli nie masz ochoty, to po co idziemy?

Nie chciał i nie mógł jej wytłumaczyć, po co. Wstał i nie oglądając się poszedł w stronę, w której powinna była być wieś. Po suchej ciepłej trawie, wśród ciepłych suchych pni, mrużąc oczy

w promieniach ciepłego słońca, którego było tu tak zdumiewająco dużo, szedł na spotkanie przeżytej grozy, której wspomnienie do bólu napinało mu—skuły, na spotkanie cichej i dziwnej nadziei, która przenikała poprzez grozę jak źdźbło trawy przez szczelinę w asfalcie.

Nava dogoniła go i szła obok. Była rozgniewana i przez jakiś czas nawet milczała, ale w końcu nie wytrzymała.

— Tylko nie myśl sobie — oznajmiła — że ja z tymi ludźmi będę rozmawiać, teraz sam sobie z nimi rozmawiaj, sam tam idziesz, to sam rozmawiaj. Ja nie lubię mieć do czynienia z kimś, kto nawet twarzy nie ma, nie lubię tego. Niczego dobrego nie można oczekiwać od człowieka, który nie umie odróżnić chłopca od dziewczynki... A mnie od rana boli głowa, teraz już wiem, dlaczego mnie boli...

Wiesz zobaczyli niespodziewanie. Widocznie Kandyd poszedł na ukos i wieś ukazała się między drzewami po prawej stronie. Wszystko tu się zmieniło i Kandyd nie od razu zorientował się, dlaczego. Potem zrozumiał — wieś tonęła.

Trójkątną polanę pokryła czarna woda, wzbierała w oczach, napełniała glinianą kotłnię, zatapiała domy, bezszelestnie wirowała na ulicach. Kandyd stał i bezradnie patrzył, jak znikają pod wodą okna, jak osiadają i rozpadają się rozmyte ściany i dachy, i nikt nie wybiegał z domów, nikt nie próbował dopłynąć do brzegu, ani jeden człowiek nie ukazał się na powierzchni wody, być może ludzi tam w ogóle nie było, być może ludzie odeszli minionej nocy; ale Kandyd czuł, że to nie jest aż takie proste. To nie wieś, pomyślał przez moment, to makieta stała tu, zapomniana przez wszystkich, zakurzona, a potem kogoś zainteresowało, co będzie, jeżeli ją zalać wodą. Może stanie się coś ciekawego? Więc zatopiono makietę. Ale nic ciekawego się nie stało...

Wygiął się łagodnie i bezgłośnie znikł w wodzie dach płaskiej budowli. Nad czarną wodą jakby zaszeleściło lekkie westchnienie, po gładkiej powierzchni pobiegły fale i wszystko się skończyło. Przed Kandydem leżało normalne trójkątne jezioro, na razie dosyć płytkie i martwe. Potem stanie się głębokie jak przepaść, zalęgną się w nim ryby, które będziemy łowić, preparować i konserwować w formalinie.

— Ja wiem, jak to się nazywa — powiedziała Nava. Powiedziała to głosem tak spokojnym, że Kandyd spojrział na nią. Rzeczywiście była absolutnie spokojna i nawet, zdaje się, zadowolona. — To się nazywa Przewyciężenie — powiedziała. — To dlatego oni nie mieli twarzy, a ja nie od razu zrozumiałam. Oni na pewno chcieli mieszkać w jeziorze. Opowiadano mi, że ci, którzy mieszkali w domach, mogą pozostać i mieszkać w jeziorze, teraz tu już zawsze będzie jezioro, a kto nie chce, ten odchodzi. Ja bym na przykład odeszła, chociaż to, być może, nawet lepiej — mieszkać w jeziorze... Ale tego nikt nie wie... Może się wykąpiemy? — zaproponowała.

— Nie — powiedział Kandyd — Nie chcę się tu kąpać. Chodźmy na twoją ścieżkę, Nava. Idziemy.

Żeby się tylko stąd wydostał, myślał, jestem jak ta maszyna w labiryncie... Staliśmy wszyscy dookoła i śmialiśmy się patrząc, jak ona pracowicie maca, szuka, węszy... a potem ao maleńkiego basenu na jej drodze nalewano wody i maszyna peszyła się doprawdy wzruszająco, ale tylko na mgnienie, i znowu zaczynała rzeczowo poruszać antenami, buczeć i węszyć; nie wiedziała, że na nią patrzymy, a my, szczerze mówiąc, mieliśmy w nosie to, czy ona wie, czy nie, chociaż to właśnie było chyba najgorsze. Jeśli to jest w ogóle złe, pomyślała. Konieczność nie może być ani zła, ani dobra. Konieczność jest konieczna, a wszystko pozostałe wymyślamy my sami, i maszyny w labiryntach, jeżeli one potrafią cokolwiek wymyślić. Po prostu kiedy błądzimy, konieczność chwyta nas za gardło, wtedy zaczynamy płakać i żalić się, że jest zła i okrutna, a tymczasem konieczność jest taka, jaka jest — to my jesteśmy głupi albo ślepi. Dziś mogę nawet filozofować, pomyślał. Pewnie dlatego, że tu jest sucho. To niezwykle, potrafię nawet filozofować...

— Masz swoją ścieżkę — gniewnie powiedziała Nava. — Proszę, możesz iść.

Gniewa się, pomyślał. Nie pozwoliłem na kąpiel, przez cały czas milczę, dokoła sucho, nieprzyjemnie... Nie szkodzi, niech się gniewa. Póki się gniewa, przynajmniej milczy, dzięki i za to. Kto chodził tą ścieżką? Czy to możliwe, żeby chodzili nią tak często, że nawet nie zarosła? Dziwna jakaś ścieżka, jakby nie wydeptana, tylko wykopana...

Początkowo ścieżka biegła przez teren suchy i przyjemny, po jakimś czasie stromo poprowadziła w dół po zboczu wzgórza i zmieniła się w grząskie pasmo czarnego błota. Skończył się czysty las, znowu były bagna, zarosła, mech, i powietrze znów stało się duszne i wilgotne. Nava niezwłocznie ożyła. Tutaj czuła się znacznie lepiej. Już znowu mówiła bez przerwy i bardzo prędko, w głowie Kandyda wirował już, nie ucichając, znajomy, świszczący szum; Kandyd szedł jak w półśnie, zapomniał o wszelkiej filozofii, zapomniał nawet, dokąd idzie, oddany na żer przypadkowych, oderwanych myśli, a raczej nawet nie myśli, ale wyobrażeń.

...Kuśtyka centralną ulicą Kaczonóg i mówi wszystkim napotkanym (jeśli nikogo nie spotyka, to po prostu głośno mówi), że jednak, okazuje się, Mruk poszedł i zabrał ze sobą Navę; do Miasta pewnie poszedł, a tymczasem żadnego Miasta przecież nie ma. A może nie do Miasta poszedł, tylko do Szuwarów, w Szuwarach dobrze się ryby łapie, wsadzasz palec w wodę — i jest ryba. Tylko, z drugiej strony, jeżeli się zastanowić, to po co Mrukowi ryby, Mruk, głupi, ryb nie jada, chociaż może dla Navy chciał nałapać ryb, Nava ryby jada, więc on będzie karmić Navę rybami... Ale w takim razie dlaczego bez przerwy pytał o Miasto? Nie-e, nie poszedł do Szuwarów, i nieprędko teraz wróci, nie ma co czekać...

A naprzeciw idzie centralną ulicą Kułak i mówi wszystkim napotkanym, że ten Mruk ciągle chodził i chodził, namawiał, pójdziemy, mówił, do Miasta, Kułak, pojutrze idziemy, cały rok mówił, że pojutrze idziemy do Miasta, a kiedy Kułak przygotował tyle jedzenia, że stara go przeklina od ostatnich, wtedy Mruk poszedł bez jedzenia i beze mnie... Był taki jeden, maćtrwa, też odchodził bez jedzenia, a jak dali mu w ucho raz i drugi, to już więcej nigdzie nie idzie, ani z jedzeniem, ani bez jedzenia, boi się, siedzi w domu...

A Kusy stoi obok starca, który je u niego śniadanie, i mówi do niego: znowu jesz, i znowu jesz nie swoje. Ty nie myśl, mówi, że ci żałuję jedzenia, ja się tylko dziwię, jak w jednego takiego chudego starucha tyle garnków najlepszego jedzenia włoży. Jedz, mówi, ale mi powiedz, może was jest więcej w naszej wsi? Może was jednak jest trzech albo chociaż dwóch? Przecież na ciebie po prostu strach patrzeć, jak jesz, jesz i nie możesz się najeść, a potem wszystkim tłumaczysz, że nie wolno...

Nava szła obok, trzymała go oburącz za rękę i z zapalem opowiadała:

— A jeszcze mieszkał w tej naszej wsi jeden mężczyzna, Krzywda-Męczennik, ty go nie możesz pamiętać, ty wtedy akurat leżałeś nieprzytomny. A jemu nigdy nic się nie podobało i ciągle pytał: dlaczego? Dlaczego w nocy jest ciemno, a w dzień widno? Dlaczego niektóre żuki są odurzające, a mrówki nie? Dlaczego martwiaki łapią kobiety, a mężczyźni ich nie interesują? Martwiaki ukradły mu dwie żony, jedną po drugiej. Pierwszą ukradły jeszcze, zanim przyszedłem do wsi, a drugą już przy mnie, więc on ciągle chodził i pytał, dlaczego, pytał, martwiaki jego nie ukradły, a żonę ukradły... Specjalnie całymi dniami i nocami chodził po lesie, żeby i jego ukradły, chciał odnaleźć swoje żony, chociaż jedną, ale, oczywiście, nikt go nie ruszył, bo martwiakom mężczyźni niepotrzebni, tylko kobiety; tak było zawsze i przez jednego Krzywdę-Męczennika martwiaki nie miały zamiaru zmieniać swoich obyczajów... I jeszcze ciągle pytał, dlaczego trzeba pracować w polu, kiedy w lesie i tak jedzenia jest pod dostatkiem, wystarczy zalać zacierem i jeść. Starosta mówi do niego: — Nie chcesz, to nie pracuj, nikt cię do roboty nie goni..., a tamten tylko w kółko powtarza: dlaczego i dlaczego?... Albo przyczepił się do Kułaka. Dlaczego, mówi, Górna Wieś zarosła grzybami, a nasza jakoś nie zarasta? Kułak mu z początku spokojnie tłumaczy: u tych na górze dokonało się już Przewyciężenie, a u nas jeszcze nie, i na tym koniec. A tamten pyta: a

dłaczego u nas tak długo nie dokonuje się Przewycięzenie? A co cię obchodzi Przewycięzenie, pyta Kułak, czy to twoja żona, żebyś za nią tęsknił? A Krzywda–Męczennik za nic się nie chciał odczepić. Zamęczył Kułaka, wrzasnął głośno Kułak, na całą wieś, pięściami wymachiwał i poleciał do starosty, naskarżył, starosta też się rozgniewał, zebrał całą wieś i wszyscy pobiegli szukać Krzywdy–Męczennika, żeby go nauczyć rozumu, ale go nie złapali... I starca też wiele razy się czepiał. Stary najpierw przestał u niego jadać, potem zaczął się przed nim chować, a w końcu nie wytrzymał i mówi: odczep ty się ode mnie, przez ciebie jedzenie staje mi kością w gardle, skąd ja mogę wiedzieć, dlaczego? Miasto wie dlaczego, i koniec. Krzywda–Męczennik poszedł do Miasta i więcej już nie wrócił...

Z lewej i z prawej powoli przepływały żółtozielone plamy, głucho pękały dojrzałe hasz—grzyby, wachlarzowa—to rozpylając żółte fontanny zarodników, nadleciała z wyciem zabłąkana leśna osa, starała się trafić w oko i musieli przebiec ze sto kroków, żeby się odczepiła; hałaśliwie i pracowicie konstruowały swoje budowle przyczepiane do lian różnobarwne podwodne pająki; skaczące drzewa przysiadły skurczone, szykowały się do skoku, ale czując nadchodzących ludzi zamierały, udawały zwyczajne drzewa — i nie było na czym zatrzymać spojrzenia, nie było co zapamiętywać. I nie było o czym myśleć, bo myśleć o Carlu, o ubiegłej nocy i zatopionej wsi — znaczyło bredzić w malignie.

— Krzywda–Męczennik był bardzo dobrym człowiekiem, to on i Kaczonóg znaleźli cię za Szuwarami. Poszli do Mrowisk, ale jakoś zaniósło ich do Szuwarów, tam znaleźli ciebie i przynieśli, to znaczy przyniósł cię Krzywda–Męczennik, a Kaczonóg tylko szedł z tyłu i zbierał wszystko, co z ciebie wypadało... Bardzo dużo rzeczy pozbierał, a potem opowiadał, że przestraszył się i wszystko wyrzucił. Coś takiego, mówił, nigdy u nas nie rosło i rosnąć nie może. A potem Krzywda–Męczennik zdjął z ciebie ubranie, bardzo dziwne ubranie miałeś na sobie, nikt nie mógł (zrozumieć, gdzie coś takiego rośnie i jak... Więc on to ubranie pociął i rozsadził, myślał, że wyrośnie. Ale nic mu nie wyrosło, nawet nie zakiełkowało, więc znowu zaczął chodzić po wsi i pytać, dlaczego; każde ubranie, jeśli je pociąć i rozsadzić, to wyrośnie, a twoje nawet nie zakiełkowało... On i ciebie wiele razy wypytywał, życ ci nie dawał, ale ty wtedy byłeś nieprzytomny, tylko coś mamrotałeś, tak jak tamten bez twarzy, i zaśnianałeś się ręką. Więc niczego się nie dowiedział i poszedł z niczym. Potem jeszcze inni chodzili do Szuwarów; Kułak chodził i Kusy, i starosta nawet chodził, chcieli znaleźć jeszcze jednego takiego jak ty. Ale nie znaleźli... Wtedy oddali mi ciebie. Pielęgnuj go, powiedzieli, wyzdrowieje — będziesz miała męża, a że jest obcy, to nie szkodzi, bo ty też, prawdę mówiąc, jesteś obca. Bo ja tu też jestem obca, Mruk. To było tak: złapały nas z mamą martwiaki, a noc była bezksiężycowa...

Ścieżka znowu prowadziła pod górę, ale nadal było równie parno, chociaż las był czystszy. Już nie napotykali zgniłych gałęzi i zwałów gnijących lian. Zieleń znikła, wszystko wokół było żółte i pomarańczowe. Drzewa stały się smuklejsze, a bagno jakieś dziwaczne: gładkie, bez mchu i grud błota. Znikła pajęczyna zarośli po lewej i prawej stronie, otworzył się horyzont. A trawa na zboczach była miękka i soczysta, proste, równe źdźbła, jakby je ktoś specjalnie wybrał i zasadził.

Nava przerwała w pół słowa, wciągnęła nosem powietrze i rozglądając się powiedziała rzeczowo:

— Gdzie tu się można schować? Zdaje się, że nigdzie nie można...

— Ktoś idzie? — zapytał Kandyd.

— Dużo ich idzie, a ja nie wiem, kto to... To nie martwiaki, ale jednak lepiej się schować. Można oczywiście się nie chować, one i tak już są blisko, zresztą tu nie ma gdzie się schować. Wiesz co, zejdźmy na bok i zobaczymy... — jeszcze raz pociągnęła nosem. — Wstrętny jakiś zapach, niby nie niebezpieczny, ale lepiej, żeby go nie było... A ty naprawdę nic nie czujesz? Przecież śmierdzi jak zepsuty zacier — stoi garnek przed nosem, a w nim zepsuty zacier, do tego

jeszcze spleśniały... To one! E, takie maleńkie, nic strasznego, zaraz je przepędzisz... Uhuhuhu!

— Cicho bądź — powiedział Kandyd i spojrzął.

Z początku wydało mu się, że ścieżką z przeciwnej strony suną białe żółwie. Potem zrozumiał, że takich zwierząt nie widział jeszcze nigdy. Były podobne do ogromnych nieprzejrzystych ameb albo do bardzo młodych ślimaków drzewnych, tylko że ślimaki nie miały nibynózek i były jednak większe. Zwierząt było wiele, pełzły gęsiego, jedno za drugim, dosyć szybko i zwinnie wyrzucając do przodu nibynóżki.

Niedługo znalazły się zupełnie blisko — białe i lśniące; teraz Kandyd też poczuł nieznaną ostry zapach, zszedł ze ścieżki na pobocze i pociągnął za sobą Navę. Mięczaki—ameby jeden za drugim przepełzały obok Navy i Kandyda, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Było ich wszystkich dwanaście i Nava nie wytrzymała, ostatniego, dwunastego, trąciła piętą. Mięczak zręcznie podciągnął zadek i ruszył w podskokach. Nawa wpadła w entuzjazm i już zamierzała puścić się w pogoń, żeby kopnąć jeszcze raz, ale Kandyd złapał ją za ubranie.

— Ale przecież one są takie śmieszne! — powiedziała Nava. — I tak pełzną jak ludzie, kiedy idą ścieżką... Ciekawe, dokąd one idą? Wiesz. Mruk, one na pewno idą do tej podstępnej wsi, na pewno są stamtąd, a teraz wracają i nie wiedzą, że tam już po Przewyciężeniu. Położą koło wody i wrócą z powrotem. Dokąd one, biedne, pójdą? Może poszukają innej wsi, tam jest już tylko jezioro!

— Ucisz się — powiedział Kandyd. — Idziemy. One nie rozumieją twojego języka, nie krzycz niepotrzebnie.

Poszli dalej. Po przemarszu mięczaków ścieżka wydawała się trochę śliska. Spotkaliśmy się i rozeszli, pomyślał Kandyd. Spotkaliśmy się i rozminęli. I to ja zszedłem z drogi. Ja, a nie one. Ta okoliczność nagle wydała mu się niezwykle ważna. One są takie maleńkie i bezbronne, a ja jestem wielki i silny, ale to ja zszedłem ze ścieżki i przepuściłem je, i teraz myślę o nich, a one przeszły i na pewno już o mnie nie pamiętają. Dlatego, że las jest ich domem, a mało to kogo można spotkać w lesie? Tak jak w domu bywają pluskwy, karaluchy czy stonogi, czasem niespodziewanie wpadnie bezmózgi motyl. Albo mucha tłucze się o szybę. A przecież to nieprawda, że muchy tłuką się o szyby. Wyobrażam sobie, że idę. Tylko dlatego, że stawiam kroki... Na pewno to bardzo śmieszny widok dla kogoś, kto mnie obserwuje z boku, śmieszny i... Jak to się mówi... żałosny... żałosliwy... Jak to będzie prawidłowo...

— Niedługo będzie jezioro — powiedziała Nava. — Chodźmy szybciej, chcę pić i jeść też. Może przywabisz dla mnie rybę...

Poszli szybciej. Zaczęły się zarośla trzciny. No dobrze, myślał Kandyd, jestem podobny do muchy. A czy jestem podobny do człowieka? Przypomniał sobie Car la i przypomniał sobie, że Carl nie był podobny do Carla. Bardzo możliwe, pomyślał spokojnie. Bardzo możliwe, że ja wcale nie jestem tym samym człowiekiem, który ileś tam lat temu rozbił się wraz z helikopterem. Tylko wobec tego nie jest jasne, dlaczego tłukę się o szybę. Przecież Carl, kiedy to się z nim zdarzyło, już nie tłukł się o szybę. To będzie bardzo dziwne, kiedy podejść do stacji biologicznej i oni mnie zobaczą. Dobrze, że o tym pomyślałem. Będę jeszcze musiał o tym długo i starannie myśleć. Dobrze, że mam jeszcze dużo czasu i nieprędko dotrę do stacji biologicznej...

Ścieżka się rozwidlała. Jedna prawdopodobnie prowadziła do jeziora, a druga ostro skręcała gdzieś w bok.

— Tam nie pójdziemy — powiedziała Nava. — Ścieżka idzie w górę, a ja chcę pić.

Ścieżka była coraz węższa, potem przemieniła się w grząską brudę i znikła ostatecznie. Nava stanęła.

— Wiesz co. Mruk — powiedziała — może my lepiej nie pójdziemy do tego jeziora? To jezioro jakoś mi się nie podoba, coś z nim jest nie tak. Myślę, że to w ogóle nie jest jezioro, tam jest jeszcze

coś oprócz wody i tego czegoś jest bardzo dużo...

— Ale woda tam jest? — zapytał Kandyd. — Chciałaś się przecież napić. Ja też byłbym nie od tego...

— Woda jest — niechętnie odparła Nava — ale ciepła. To niedobra woda. Nieczysta... Wiesz co. Mruk, ty sobie tu stój, bo ty strasznie głośno chodzisz, przez ciebie ja nic nie słyszę, stój tu i czekaj na mnie, a ja cię zawołam, krzyknę tak jak skaczące drzewo. Wiesz, jak krzyczy skaczące drzewo? No to ja tak właśnie krzyknę. A ty tu stój albo nawet lepiej posiedź sobie...

Dała nurka w trzciny i znikła. I wtedy dopiero Kandyd zwrócił uwagę na głuchą jak wata ciszę, która tu panowała. Ani bzykania owadów, ani westchnień i sapania bagna, ani krzyków leśnych zwierząt — niczego nie było słychać; mokre, gorące powietrze stało nieruchomo. To nie była sucha cisza podstępnej wsi, tam było cicho, jak cicho jest w nocy za kulisami teatru. A tu było cicho, jak cicho jest pod wodą. Kandyd ostrożnie przykucnął, wyrwał kilka źdźbeł trawy, roztarł je w palcach i nieoczekiwanie stwierdził, że ziemia tutaj powinna być jadalna. Wyrwał pęczek trawy z ziemi i zaczął jeść. Ziemia dobrze zaspokajała głód i pragnienie, była zimna i słonawa. Ser, pomyślał Kandyd. Tak, ser... Co to takiego — ser? Ser szwajcarski, ser topiony. Ser z pleśnią. Dziwne...

Potem z trzciny bezszelestnie wybiegła Nava. Przysiadła obok i również zaczęła jeść, szybko i uważnie. Oczywiście miała okrągłe.

— To dobrze, że tu zjedliśmy — powiedziała w końcu. — Chcesz zobaczyć, co to za jezioro? Bo ja chcę popatrzeć jeszcze raz, ale sama się boję. To jest to samo jezioro, o którym zawsze opowiadał Kaczonóg, tylko myślałam, że on to wszystko zmyślił albo mu się przywidziało, a okazuje się, że to prawda, chociaż może i mnie się też przywidziało...

— Chodź, zobaczymy — rzekł Kandyd.

Jezioro leżało jakieś pięćdziesiąt kroków dalej. Kandyd i Nava zeszli na dół po grząskim dnie i rozsunęli trzciny. Na wodzie leżała gruba warstwa białej mgły. Woda była ciepła, nieomal gorąca, ale jasna i przezroczysta. Pachniało jedzeniem. Mgła pulsowała w regularnym rytmie i po minucie Kandyd poczuł zawrót głowy. We mgle ktoś był. Ludzie. Bardzo wielu ludzi. Wszyscy byli nadzy i absolutnie nieruchomo leżeli na wodzie. Mgła rytmicznie wznosiła się i opadała, to odsłaniając, to zakrywając żółtawo—białe ciała, uniesione twarze — ludzie nie pływali, ludzie leżeli na wodzie jak na plaży. Dreszcz wstrząsnął Kandydem. — Chodźmy stąd — wyszeptał i pociągnął Navę za rękę. Wyszli na brzeg i wrócili na ścieżkę.

— To wcale nie są topielcy — powiedziała Nava. — Kaczonóg w ogóle nic nie zrozumiał, po prostu oni się kąpali, nagle wytrysnęło gorące źródło i wszyscy się ugotowali... To bardzo straszne, Mruk — powiedziała po chwili milczenia. — Nawet nie chce się o tym mówić... A jak ich tam dużo, cała wieś...

Doszli do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała, i stanęli.

— Teraz pod górę? — zapytała Nava.

— Tak — odparł Kandyd. — Teraz pod górę. Skręcili na prawo i ruszyli zboczem wzgórza.

— To były same kobiety — powiedziała Nava. — Zauważyłeś?

— T—ak — powiedział Kandyd.

— I to jest właśnie najstraszniejsze, tego w ogóle nie mogę zrozumieć. A może... — Nava spojrzała na Kandyda. — A może to martwiaki je tutaj zaganiają? Na pewno martwiaki zaganiają je tutaj — wyłapują we wszystkich wsiach, pędzą do tego jeziora i gotują... Słuchaj, Mruk, a po co myśmy odeszli ze wsi? Siedzielibyśmy sobie w domu i nigdy byśmy tego wszystkiego nie zobaczyli. Myślelibyśmy, że Kaczonóg to zmyślił, żylibyśmy sobie spokojnie, ale nie, koniecznie musiałeś iść do Miasta... No i po co musisz iść do Miasta?

— Nie wiem — powiedział Kandyd.

ROZDZIAŁ 4

Leżeli w krzakach, na samym skraju lasu, i poprzez liście patrzyli na wierzchołek wzgórza. Zbocza wzgórza były łagodne i gołe, a szczyt otulała czapa liliowej mgły. Niebo nad wzgórzem było odsłonięte, wiał porywisty wiatr, pędziły szare chmury i mżył deszcz. Liliowa mgła trwała nieruchomo, jakby nie było żadnego wiatru. Było dość chłodno, a właściwie nawet zimno, oboje zmokli, przejmował ich ziąb, szczękali zębami, ale uciec już nie mogli — dwadzieścia kroków przed nimi, sztywne jak posągi, z szeroko otwartymi czarnymi ustami stały trzy martwiaki o pustych oczach i również patrzyły na wierzchołek wzgórza. Te martwiaki nadeszły pięć minut temu. Nava poczuła ich obecność i nawet poderwała się do ucieczki, ale Kandyd zasłonił jej usta dłonią i przydusił dziewczynę do ziemi. Teraz Nava trochę się uspokoiła, tylko drżała jak osika, ale już nie ze strachu, tylko z zimna, i znowu patrzyła nie na martwiaki, tylko na wzgórze.

Na wzgórzu i wokół niego działo się coś dziwnego, następowały jakieś potężne przyprływy i odpływy. Z lasu, z niskim, basowym bzyczeniem wylatywały nagle gigantyczne stada much, osiągały szczyt wzgórza i znikwały we mgle. Zbocza pokryły się kolumnami mrówek i pajaków, z krzaków wylażyły setki mięczaków–ameb, nieprzeliczone roje pszczoł i os, chmary różnokolorowych żuków nieustraszenie wirowały w deszczu. Narastał szum jak w czasie burzy. Fala wznosiła się ku szczytowi, liliowy obłok pochłaniał ją, fala znikwała i wtedy znienacka zapadała cisza. Wzgórze znowu było nagie i martwe, a po jakimś czasie znowu narastał szum i huczenie, i wszystko z powrotem wytryskiwało z mgły i pędziło do lasu. Tylko mięczaki zostawały na szczycie, ale za to zamiast nich z góry spadały najnieprawdopodobniejsze, najbardziej nieoczekiwane zwierzęta — koziołkowały włochacze, kuśtykały na chwiejnych nogach niezgrabne rękojady i jeszcze inne nieznanne, nigdy nie widziane ni to zwierzęta, ni to owady, różnobarwne, wielookie, nagie, lśniące... I znowu następowała cisza, znów wszystko zaczynało się od początku, i znowu, i znowu, w przerażającym, uporczywym rytmie, z jakąś niewyczerpaną energią; wydawało się, że tak zawsze było i będzie, w tym samym rytmie, z taką samą energią... Raz rycząc straszliwie wylażył z mgły młody hippocetus, kilkakrotnie wybiegały martwiaki i niezwłocznie pędziły do lasu ciągnąc za sobą białawe smugi stygnącej pary. A nieruchomy liliowy obłok połykał i wypluwał, połykał i wypluwał, nieustannie i regularnie jak maszyna.

...Kaczonóg mówił, że Miasto stoi na wzgórzu. Być może to właśnie jest Miasto, być może oni to właśnie nazywają Miastem. Tak, z pewnością to jest Miasto. Tylko jaki jest jego sens? Po co to wszystko? I ta dziwaczna działalność... Oczekiwałem czegoś podobnego... Zawracanie głowy, niczego takiego wcale nie oczekiwałem. Myślałem wyłącznie o gospodarzach; a gdzie oni, ci gospodarze? Kandyd spojrzął na martwiaki. Martwiaki stały w poprzednich pozach, z tak samo otwartymi ustami. Być może mylę się, pomyślał Kandyd. Być może one właśnie są gospodarzami. Zapewne mylę się przez cały czas. Zupełnie odczyłem się tutaj myślenia. Jeżeli nawet czasem pojawiają się w mojej głowie jakieś myśli, to od razu okazuje się, że w ogóle nie jestem w stanie powiązać ich ze sobą... Z mgły nie wyszedł jeszcze ani jeden mięczak. Pytanie — dlaczego z mgły nie wyszedł jeszcze ani jeden mięczak?... Nie, to nie to. Trzeba po kolei. Przecież szukam źródła jakiejś racjonalnej działalności... Źle, znowu źle. Zupełnie mnie nie interesuje rozumna działalność. Po prostu szukam kogokolwiek, kto mi — pomoże wrócić do domu. Żeby mi pomógł pokonać tysiąc kilometrów lasu. Albo żeby mi chociaż powiedział, w którą stronę mam iść. Martwiaki muszą mieć gospodarzy, więc szukam tych gospodarzy, szukam źródła rozumnej działalności. Kandyd nabrał nieco otuchy — rozumowanie wydało się zupełnie sensowne. Zaczniemy od początku. Przemyślimy wszystko spokojnie i bez pośpiechu. Teraz nie pora na

pośpiech, teraz jest najodpowiedniejszy moment, żeby wszystko przemyśleć spokojnie i bez pośpiechu. Zaczniemy od samego początku. Martwiaki muszą mieć gospodarzy, ponieważ martwiaki to nie ludzie i ponieważ martwiaki to nie zwierzęta. To oznacza, że martwiaki zostały wyprodukowane. Jeżeli one nie 6ą ludźmi... A dlaczego właściwie miałyby nie być ludźmi? Kandyd potarł czoło. Przecież już rozwiązywałem ten problem. Dawno, jeszcze kiedy byłem aa wsi. Nawet dwa razy go rozwiązywałem, ponieważ za pierwszym razem zapomniałem, jakie było rozwiązanie, a teraz zapomniałem, jakie jest rozumowanie...

Z całej siły potrząsnął głową i Nava cichutko syknęła na niego. Kandyd przycichł i jakiś czas leżał nieruchomo z twarzą w mokrej trawie.

...Dlaczego nie mogą być zwierzętami, też już kiedyś udowodniłem... Wysoka temperatura... Nie, zawracanie głowy... Uprzytomnił sobie nagle ze straszliwym przerażeniem, że zapomniał nawet, jak martwiaki wyglądają. Pamiętał tylko ich rozpalone ciała i przeszywający ból poparzonych dłoni. Uniósł głowę i spojrzał na martwiaki Tak. Myśleć mi nie wolno, myślenie jest dla mnie przeciwwskazane, i to właśnie teraz, kiedy powinienem myśleć intensywniej niż kiedykolwiek. „Pora coś zjeść; już mi to kiedyś opowiadałaś, Navo; pojutrze idziemy” — oto wszystko, co mi wolno. Ale przecież jednak odszedłem! Teraz pójdę do Miasta. Czymkolwiek by się miało okazać — do Miasta. Mózg zarósł mi lasem. Niczego już nie potrafię zrozumieć... Przypomniałem sobie. Szedłem do Miasta po to, żeby mi to wszystko wytłumaczono — i Przewyciężenie, i martwiaki, i Wielkie Przeoranie Gleby, i jeziora z topielcami... Okazuje się, że to wszystko kłamstwo, znowu wszystko zełgali, nikomu nie wolno wierzyć... Miałem nadzieję, że w Mieście mi wytłumaczą, jak mam się dostać do swoich, przecież starzec ciągle powtarzał: „Miasto wie wszystko”. Więc niemożliwe, żeby tam nie wiedziano o naszej stacji biologicznej, o Zarządzie. Nawet Kaczonóg bez przerwy gada o Czarcich Skałach i o latających wsiach... Ale czyż liliowy obłok może cokolwiek wyjaśnić? To byłoby straszne, gdyby gospodarzem okazał się liliowy obłok. A dlaczego „byłoby”? To już jest straszne! Posłuchaj, Mruk, wniosek nasuwa się sam — tu wszędzie gospodarzem jest liliowa mgła, czyż mogłem o tym zapomnieć? Zresztą to nie jest żadna mgła... A więc o to chodzi, więc to dlatego zagnali ludzi jak zwierzęta w chaszcze, w bagna, potopili w jeziorach, ludzie byli zbyt słabi, nie rozumieli nic, a jeżeli nawet rozumieli, to nie mogli nic zrobić, żeby przeszkodzić... Kiedy mnie Jeszcze nie zagnali, kiedy jeszcze byłem w domu, ktoś udawał przekonująco, że kontakt między rozumem humanoidalnym i niehumanoidalnym jest niemożliwy. Zgoda, taki kontakt jest niemożliwy. Oczywiście, niemożliwy. I teraz już nikt mi nie powie, w jaki sposób mam się dostać do domu. Mój kontakt z ludźmi jest również niemożliwy i nawet potrafię powiedzieć, dlaczego. Mogę jeszcze obejrzeć Czarcie Skały, mówią, że czasami można je zobaczyć, jeżeli w odpowiednim sezonie wdrapać się na odpowiednie drzewo, tylko że najpierw trzeba znaleźć odpowiednie drzewo, normalne, ludzkie drzewo. Takie, które nie skacze. I nie odpycha. I nie stara się wykluć oka. Ale tak czy owak nie ma takiego drzewa, z którego mógłbym zobaczyć stację biologiczną... Stację biologiczną? Bio-lo-giczną... Zapomniałem, co to właściwie takiego — biologiczna.

Las znowu zahuczał, zabrzczał, zatrzeszczał, zaparskał, znowu na liliową kopułę runęły armie much i mrówek. Jedna chmura przeleciała nad głowami Navy i Kandyda, na krzaki spadł grad martwych i słabych owadów, znieruchomiałych i ledwie żywych, zduszonych w gęstym roju. Kandyd poczuł nieprzyjemne pieczenie i spojrzał na rękę. Jego łokieć, którym wspierał się o miękką ziemię, oplotły delikatne nici grzybni. Obojętnie stał je dłonią. A Czarcie Skały to miraż, pomyślał, nic takiego nie istnieje. Jeśli oni opowiadają o Czarcich Skałach, to znaczy, że skały są kłamstwem, to znaczy, że nic, ale to nic podobnego nie istnieje, i teraz nawet nie wiem, po co ja tu właściwie przyszedłem...

Z boku rozległo się znajome przerażające chrapanie. Kandyd odwrócił głowę. Zza siedmiu

drzew jednocześnie patrzył na wzgórze samotnik hippocetus. Jeden z martwiaków nagle ożył, wykręcił się i zrobił kilka kroków w kierunku hippocetusa. Znowu rozległo się chrapanie, trzasnęły drzewa i hippocetus zniknął. Nawet hippocetusy boją się martwiaków, pomyślał Kandyd. Kto się ich nie boi? Gdzie znaleźć tych, którzy się nie boją? Ryczące muchy. Głupia i bez sensu. Muchy — i ryczą. Osy też ryczą...

— Mama! — wyszeptała nagle Nava. — Mama idzie... Stała na czworakach i patrzyła za siebie przez ramię.

Twarcz jej wyrażała przeogromne zdumienie i niedowierzenie. A Kandyd teraz dopiero zauważył, że z lasu wyszły trzy kobiety i nie widząc martwiaków idą w stronę pagórka.

— Mama! — zapiszczała Nava nieswoim głosem, przeskoczyła przez Kandyda i pędem pobiegła na spotkanie kobiet. Wtedy Kandyd również zerwał się na nogi i wydało mu się, że martwiaki są tuż obok i że czuje bijący od nich żar.

Trzy, pomyślał. Trzy... A wystarczyłyby nawet jeden. Patrzył na martwiaki. Oto koniec ze mną, pomyślał. Głupio. Co za lichy przyniosło te baby? Nienawidzę bab, pomyślał. Przez baby zawsze jest nie tak, jak trzeba.

Martwiaki zamknęły paszcze, a głowy ich powoli obracały się w kierunku biegnącej Navy. Potem jednocześnie zrobili krok naprzód i Kandyd gwałtem zmusił się, aby wybiec z krzaków martwiakom na spotkanie.

— Wracajcie! — krzyknął do kobiet nie odwracając głowy. — Uciekajcie stąd! Martwiaki!

Martwiaki były ogromne, barczyste, nowiutkie, bez jednego zadrapania, bez jednej rysy. Nieprawdopodobnie długie ręce dotykały trawy. Ani na moment nie spuszczać oczu z martwiaków, Kandyd zastąpił im drogę. Martwiaki patrzyły ponad jego głową i powoli, nieubłaganie szły na niego, a Kandyd wciąż się cofał, opóźniając nieunikniony początek i nieunikniony koniec, pokonując nerwowe mdłości, i jakoś ciągle nie mógł się zatrzymać. Za jego plecami krzyczała Nava: „Mamo! To przecież ja! Nie słyszysz? Mamo!” Głupie baby, dlaczego nie uciekają? Zgłupiały ze strachu? Zatrzymaj się, mówił do siebie, zatrzymaj się wreszcie! Jak długo można się cofać? I nie mógł się zatrzymać. Tam przecież jest Nava, myślał. I te trzy idiotki. Grube, zaspane, bezmyślne idiotki... I Nava... Co one mnie obchodzą, myślał. Kaczonóg już dawno by zwiął na tych swoich nogach, a Kułak tym bardziej... A ja muszę się wreszcie zatrzymać. To niesprawiedliwe. Ale ja m u s z ę się zatrzymać! Ano stój! Nie mógł się zatrzymać, gardził sobą za to, chwalił siebie za to, nienawidził i ciągle się cofał.

Martwiaki zatrzymały się. Jednocześnie, jak na komendę. Ten, który szedł na przedzie, zastygł z uniesioną nogą, a potem powoli, jakby niezdecydowanie, opuścił ją na trawę. Martwiaki znowu otwały usta, a głowy zwróciły ku wierzchołkowi wzgórze. Kandyd ciągle jeszcze cofając się spozrywał za siebie. Nava majtając nogami wisiała na szyi jednej z kobiet. Pozostałe dwie kobiety stały spokojnie obok i patrzyły. Nie na martwiaki, nie na wzgórze. I nawet nie na Kandyda, zarośniętego, obcego mężczyznę, być może złodzieja. A martwiaki stały nieruchomo jak drewniane prymitywne posągi wrośnięte w ziemię, jakby w całym lesie nie było już w ogóle kobiet, które należało łapać i ciągnąć gdzieś tam, gdzie im kazano. Spod nóg martwiaków jak dym z ofiarnego ogniska wzbijały się słupy pary.

Wtedy Kandyd zawrócił i poszedł w stronę kobiet. A raczej nie tyle poszedł, ile powłókł się, nie wiedząc już nic, nie wierząc więcej ani oczom, ani uszom, ani myślom. W czaszce pulsował mu bolesny kłęb, a ciało miał zdrętwiałe po przedśmiertnym napięciu.

— Uciekajcie — powiedział jeszcze z daleka. — Uciekajcie, póki czas, dlaczego nie uciekacie? — Wiedział już, że mówi od rzeczy, ale to była inercja, inercja poczucia obowiązku, więc nadal automatycznie mamrotał: — Tu są martwiaki, uciekajcie, ja je zatrzymam...

Kobiety nie zwróciły na niego uwagi. Nie żeby nie słyszały albo nie widziały Kandyda —

młodziutka dziewczyna, może dwa lata starsza od Navy, nogi miała jeszcze bardzo szczupłe i długie, spojrziała na niego i uśmiechnęła się bardzo życzliwie — ale po prostu Kandyd nic nie znaczył dla tych kobiet, jakby był wielkim psem przybłądą, który biega wszędzie bez określonego celu i gotów jest godzinami kręcić się wokół ludzi, czekając nie wiadomo na co.

— Dlaczego nie uciekacie? — cicho zapytał Kandyd. Nie oczekiwał już na odpowiedź, nikt mu też nie odpowiedział.

— Ajajaj — mówiła kobieta w ciąży, ze śmiechem kręcąc głową. — I kto by pomyślał? Może ty? — zwróciła się do dziewczyny. — Ja nie. No i co, moja kochana? — zapytała matkę Navy. — Głośno sapał? Czy po prostu wiercił się i pocił?

— Nieprawda — powiedziała dziewczyna. — On był cudowny, prawda? Był piękny jak poranek i prześlicznie pachniał...

— Jak lilia — podchwyciła kobieta w ciąży. — Od jego zapachu kręciło się w głowie, a jego łapy przejmowały dreszczem... A czy zdążyłaś przynajmniej powiedzieć „ach”?

Dziewczyna parsknęła. Matka Navy uśmiechnęła się niechętnie. Kobiety były jędrne, zdrowe i nadzwyczaj czyste, jakby umyte, zresztą istotnie były umyte — krótkie włosy miały wilgotne, a żółte workowate ubrania oblepiały ich mokre ciała. Matka Navy była najniższa wzrostem i zapewne najstarsza. Nava obejmowała ją w talii przytulając twarz do jej piersi.

— Nie wysilajcie się — powiedziała matka Navy z udanym lekceważeniem. — Co wy możecie o tym wiedzieć? Wy, które nie macie żadnego wykształcenia...

— Nie szkodzi — z miejsca odpowiedziała kobieta w ciąży. — Bo skąd możemy coś wiedzieć? Właśnie dlatego pytamy ciebie... Powiedz nam, proszę, jaki był korzeń miłości?

— Czy nie był zbyt gorzki? — zapytała dziewczyna i znowu parsknęła.

— Właśnie, właśnie — powiedziała kobieta w ciąży. — Owoc jest dosyć słodki, chociaż źle umyty...

— Nie szkodzi, domyjemy go jak należy — powiedziała matka Navy. — Nie wiesz, czy Pajęczy Basen już oczyścili? Czy też trzeba będzie znieść go w dolinę?

— Korzeń był gorzki — powiedziała kobieta w ciąży do dziewczyny. — Nieprzyjemnie jej o nim wspominać. To dziwne, przecież mówią, że to niezapomniane przeżycie! Słuchaj, moja kochana, a przecież on ci się śni teraz?

— To wcale nie jest dowcipne — powiedziała matka Navy. — Aż mnie zemdliło...

— A czy my żartujemy? — zdziwiła się kobieta w ciąży. — Po prostu jesteśmy ciekawe.

— Ty tak pasjonująco opowiadasz — powiedziała dziewczyna błyskając zębami — opowiedz nam coś jeszcze...

Kandyd chciwie próbując odnaleźć jakiś ukryty sens tej rozmowy, nic nie rozumiał. Widział tylko, że tamte dwie szydzą z matki Navy, że matka Navy czuje się dotknięta, że stara się to ukryć albo zmienić temat rozmowy i że to się jej w żaden sposób nie udaje. A Nava uniosła głowę, patrzyła na rozmawiające przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że ty sama urodziłaś się w jeziorze — powiedziała matka Navy do kobiety w ciąży z nie ukrywaną już irytacją.

— O nie — odparła tamta. — Ja nie zdążyłam otrzymać tak wszechstronnego wykształcenia, ale moja córka — kobieta poklepała się po brzuchu — urodzi się w jeziorze. Na tym właśnie polega różnica.

— Czego się przyczepiłaś do mamy, ty gruba starucho? — nagle odezwała się Nava. — Najpierw sobie się przyjrzyj, zobacz, jak wyglądasz, a potem się czepiaj! Bo inaczej poskarżę się mojemu mężowi i on ci tak przyleje kijem po tyłku, że przestaniesz się czepiać...

Wszystkie trzy kobiety roześmiały się.

— Mruk! — wrzasnęła Nava. — Dlaczego one się ze mnie śmieją?

Wciąż jeszcze śmiejąc się kobiety popatrzyły na Kandyda. Matka Navy — ze zdziwieniem, kobieta w ciąży — obojętnie, a dziewczyna, niejasne jak, ale, zdaje się, z zaciekawieniem.

— Jaki Mruk? — zapytała matka Navy.

— To mój mąż — powiedziała Nava. — Widzicie, jaki sympatyczny? On mnie uratował przed złodziejami...

— Jaki znowu mąż? — nieprzyjaźnie zapytała kobieta w ciąży. — Nie zmyślaj, mała.

— Sama nie zmyślaj — natychmiast odparła Nava. — Czego się wtrącasz? Co cię to obchodzi? Jeśli chcesz wiedzieć, to ja z tobą w ogóle nie rozmawiam. Rozmawiam z mamą. Wtrąca się jak nasz staruch, bez pytania, bez pozwolenia...

— A ty co? — zapytała kobieta w ciąży Kandyda. — Ty co, rzeczywiście jesteś jej mężem?

Nava ucichła. Matka mocno objęła ją ramionami i przytuliła do siebie. Patrzyła na Kandyda ze strachem i odrazą. Tylko dziewczyna nadal się uśmiechała, a uśmiech jej był tak czuły i serdeczny, że Kandyd zwrócił się właśnie do niej:

— Ależ skąd — powiedział. — Jaka tam żona. Raczej córka. — Chciał opowiedzieć, że Nava pielęgnowała go w chorobie, że bardzo ją kocha, że ogromnie się cieszy, że wszystko tak dobrze i szczęśliwie się kończy, chociaż on, Kandyd, nic zupełnie nie rozumie.

Ale dziewczyna zniemacka parsknęła śmiechem i roześmiana zamachała rękami.

— Od razu tak sobie pomyślałam — wyjęczała. — To nie jej mąż, tylko jej! — pokazała na matkę Navy. — To... jej... mąż! Oj, nie wytrzymam!

Na twarzy kobiety w ciąży pojawiło się wesołe zdumienie i z demonstracyjną uwagą obejrzała Kandyda od stóp do głów.

— Ajaj–jaj... — zaczęła poprzednim tonem, ale matka Navy powiedziała nerwowo:

— Przestańcie wreszcie! To nudne! Idź stąd! — zwróciła eię do Kandyda. — Idź, idź, na co czekasz? Idź do lasu!

— Kto by pomyślał — cicho i śpiewnie powiedziała kobieta w ciąży — że korzeń miłości może okazać się tak gorzki... tak brudny... kosmaty... — dostrzegła wściekłe spojrzenie matki Navy i machnęła na nią ręką. — Już, już skończyłam — powiedziała. — Nie gniewaj się, moja kochana. To tylko żarty. Jesteśmy po prostu bardzo zadowolone, że odnalazłaś córeczkę. To przecież nieprawdopodobne szczęście...

— Weźmiemy się w końcu do roboty czy nie? — zapytała matka Navy. — Czy nadal będziemy tracić czas na gadanie?

— Idę, Bie gniewaj się — powiedziała dziewczyna. — Teraz właśnie nastąpi przypyływ.

Skinęła głową, znowu uśmiechnęła się do Kandyda i lekko pobiegła z boczem pod górę. Kandyd patrzył, jak biegnie: precyzyjnie, sprawnie, nie po kobiecemu. Dziewczyna wbiegła sa szczyt i nie zwalniając tempa skryła się w liliowej mgłę.

— Pajęczy Basen jeszcze nie jest oczyszczony — z zatroskaniem powiedziała kobieta w ciąży. — Te wieczne kłopoty z budowniczymi... No i co teraz?

— Nie szkoda — powiedziała matka Navy. — Przespacerujemy się w dolinę.

— Rozumiem, ale to jednak trochę bez sensu — męczyć się, nieść prawie dorosłego człowieka do samej doliny, kiedy mamy własny basen.

Gwałtownie wzruszyła ramionami i nagle skrzywiła się.

— Może byś usiadła — powiedziała matka Navy, poszukała czegoś wzrokiem i pstryknęła palcami na martwiaka.

Martwiak natychmiast ruszył z miejsca, podbiegł ślizgając się po trawie z pośpiechu, padł na kolana i nagle jakoś dziwacznie wygiął się, spłaszczył i rozpląnął.

Kandyd zamrugał powiekami — martwiaka nie było, był wygodny miękki fotel. Kobieta w ciąży sapiąc z ulgą usiadła i wtuliła głowę w miękkie oparcie.

— Żeby już prędzej — wymruczała z zadowoleniem wyprężając nogi — żeby już prędzej...

Matka Navy przykucnęła przed córką i zaczęła patrzeć jej w oczy.

— Wyrosłaś — powiedziała. — Zdziczałaś. Cieszysz się?

— No oczywiście — powiedziała niepewnie Nava. — Przecież jesteś moją mamą. Każdej nocy widziałam cię we śnie... A to jest Mruk, mamó.. — I Nava zaczęła opowiadać.

Kandyd rozglądał się zaciskając szczęki. To wszystko nie było majaczeniem, jak miał początkowo nadzieję. To było niezmiernie zwyczajne, naturalne, tylko do tej chwili jeszcze mu nie znane, ale czy mało nieznanych rzeczy jest w lesie? Należało do tego przywyknąć, jak przywykł do szumu w głowie, do jadalnej ziemi, do martwiaków i do innych rzeczy. Gospodarze, pomyślał. To są gospodarze. One niczego się nie boją. Rozkazują martwiakom. To znaczy, że są ta gospodarzami. To znaczy, że to one wysyłają martwiaki po kobiety. Spojrzał na wilgotne włosy kobiet. To znaczy... I matka Navy, którą porwały martwiaki...

— Gdzie się kąpicie? — zapytał. — Po co? Kim jesteście? Czego chcecie?

— Co? — zapytała kobieta w ciąży. — Posłuchaj, moja kochana, on o coś pyta.

Matka powiedziała do Navy:

— Poczekaj chwileczkę, nic przez ciebie nie słyszę... — Mówiłaś coś? — zapytała kobietę w ciąży.

— To ten koziołek — odparła kobieta w ciąży. — On czegoś chce.

Matka Navy spojrzała na Kandyda.

— Czego on może chcieć? — zapytała. — Na pewno chce jeść. Oni przecież zawsze chcą jeść i jedzą strasznie dużo, to zupełnie niepojęte, po co im tyle jedzenia, przecież nic nie robią...

— Koziołek — powiedziała kobieta w ciąży. — Biedny koziołek chce trawki. Be-e-e! — A wiesz — zwróciła się do matki Navy — to przecież jest człowiek z Białych Skał. Nawiasem mówiąc, takich jak on spotyka się teraz coraz częściej. Jak oni stamtąd schodzą?

— Trudniej zrozumieć, jak oni tam włączą. Jak schodzą, sama widziałam. Spadają. Niektórzy zabijają się, a niektórzy jeszcze potem żyją...

— Mamó — przerwała jej Nava — dlaczego tak brzydko na niego patrzysz? To przecież Mruk! Powiedz mu coś nię—go, bo inaczej będzie mu przykro. Dziwne, że do tej pory się nie obraził, ja na jego miejscu dawno bym się obraziła...

Wzgórze znowu zahuczało, czarne chmury owadów przesłoniły niebo. Kandyd nie słyszał nic, widział tylko, jak poruszają się wargi matki Navy, która o czymś przekonywała córkę, jak poruszają się wargi kobiety w ciąży zwróconej do niego, i widział wyraz jej twarzy, taki jakby rzeczywiście rozmawiała z domowym kozłem, który wlaźł do jej ogrodu. A potem huczenie umilkło.

— ...tylko strasznie brudny — mówiła kobieta w ciąży. — I jak ci nie wstyd? — odwróciła się i teraz patrzyła na wzgórze.

Z liliowej chmury na czworakach wylażyły martwiaki. Poruszały się niepewnie, niewprawnie, co chwila padały uderzając głowami o ziemię. Między nimi spacerowała dziewczyna, pochylała się, popychała je, poganiała i martwiaki, jeden za drugim, stawały pionowo i początkowo potykając się, a potem coraz pewniej maszerowały do lasu. Gospodarze, powtarzał sobie Kandyd. Gospodarze. Nie wierzę. Co robić? Spojrzał na Navę. Nava spała. Matka siedziała na trawie, a Nava zwinięta w kłębek spała trzymając ją za rękę.

— Jakies takie niewydarzone — powiedziała kobieta w ciąży. — Znowu trzeba wszystko czyścić. Patrz, jak się potykają... Z takimi pracownikami nie zakończymy Przewyciężenia.

Matka Navy coś jej odpowiedziała i rozpoczęła się rozmowa, której Kandyd nie rozumiał. Pojmował tylko oddzielne słowa jak w majaczeniach Uchacza. Dlatego po prostu stał i patrzył, jak dziewczyna schodzi w dół wlokąc za łapę niezgrabnego rękojada. Po co ja tu stoję, myślał, czegoś

od nich chciałem, to przecież gospodarze... Nie mógł sobie przypomnieć.

— Stoję sobie i koniec — powiedział ze złością na głos. — Nie odganiają mnie już, więc stoję.

Kobieta w ciąży spojrzała na niego przelotnie i odwróciła się.

Podeszła dziewczyna, coś powiedziała wskazując na rękojada i obie kobiety zaczęły z uwagą oglądać potwora, kobieta w ciąży nawet nieco uniosła się z fotela. Ogromny rękojad, postrach wiejskich dzieci, piszczał żałośnie, słabo się wrywał i bezsilnie rozwierał straszliwe rogowe szczęki. Matka Navy schwyciła go za dolną szczękę i silnym, zdecydowanym ruchem wykręciła ją. Rękojad chlipnął i zamarł, oczy zaciągnęła mu półprzezroczysta błona. Kobieta w ciąży mówiła: ...najwidoczniej brakuje... zapamiętaj, dziecko... słabe szczęki, oczy otwierają się tylko do połowy... z pewnością nie wytrzyma i dlatego bezużyteczny, a może nawet szkodliwy, jak każda pomyłka... — trzeba oczyścić, zmienić miejsce, a tutaj wszystko wyczyścić... wzgórze... bardzo sucho i kurz... — mówiła dziewczyna. — ...las zatrzymuje się... a tego jeszcze nie wiem... opowiadałyście mi zupełnie inaczej... a ty sama spróbuj — mówiła matka Navy — to widać od razu... spróbuj, spróbuj!

Dziewczyna odciągnęła rękojada, cofnęła się o krok i popatrzyła na potwora. Tak jakby składała się do strzału. Twarz dziewczyny była poważna i napięta. Rękojad chwiał się na niezgrabnych łapach, smętnie poruszał jedną szczęką i słabo skrzypiał. „Sama widzisz” — powiedziała kobieta w ciąży. Dziewczyna podeszła do rękojada i przykucnęła przy nim, opierając dłonie na kolanach. Rękojad zadygotał febrycznie i nagle upadł rozplaszczając łapy, jakby po nim przejechał walec. Kobiety roześmiały się. Matka Navy powiedziała:

— No, przestań już, dlaczego nam nie wierzysz?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Stała nad rękojadem i obserwowała, jak powoli i ostrożnie podgina pod siebie łapy i próbuje wstać. Rysy jej stały się ostre. Gwałtownym ruchem podniosła rękojada, postawiła go na łapy i zrobiła taki gest, jakby chciała go objąć ramionami. Między jej palcami poprzez tułów rękojada przepłynął strumień liliowej mgły. Rękojad zapiszczał, zwinął się, zamachał łapami. Próbował uciec, wyrwać się, uratować, ale dziewczyna szła za nim złowieszczo pochylona i rękojad upadł nienaturalnie splatając łapy, i skręcił się w supeł. Kobiety milczały. Rękojad był już pstrokatym kłębkim śluzu, a wtedy dziewczyna odeszła od niego i powiedziała patrząc w bok:

— Paskudztwo...

— Czyścić trzeba, czyścić — powiedziała wstając kobieta w ciąży. — Zajmij się tym, nie warto odkładać. Wszystko zrozumiałas?

Dziewczyna skinęła głową.

— Wobec tego my już pójdziemy, a ty od razu zaczynaj.

Dziewczyna zawróciła i poszła z boczem wzgórze w liliową mgłę. Przystanąła na chwilę obok pstrokatego kłębka, złapała słabo drgającą łapę i ruszyła dalej, ciągnąc kłębek za sobą.

— Przesławna druhna — powiedziała kobieta w ciąży. — Zuch.

— Będzie zarządzać — powiedziała matka Navy, również wstając. — Ma charakter. No cóż, trzeba iść...

Kandyd ledwie słyszał ich słowa. W żaden sposób nie mógł oderwać oczu od czarnej kałuży, która została w miejscu, w którym poległ rękojad. Ona go nawet palcem nie tknęła, nie dotknęła go, po prostu stała nad nim i robiła, co chciała... Taka miła, delikatna, serdeczna... Nawet go nie dotknęła... Czy do tego też trzeba przywyknąć? Tak, pomyślał. Trzeba. Zobaczył, jak matka Navy i kobieta w ciąży ostrożnie stawiają Navę na nogi, biorą za ręce i prowadzą w las, na dół, w stronę jeziora. Nawet go nie zauważyły, nic mu nie powiedziały. Znowu spojrzał na kałużę. Poczuł się mały, żalony i bezradny, ale jednak podjął decyzję i pobiegł za kobietami, dogonił je i spocony ze strachu szedł dwa kroki za nimi. Coś gorącego napierało na niego od tyłu. Kandyd obejrzał się i

uskoczył w bok. Tuż za nim szedł ogromny martwiak, ciężki, rozżarzony, bezszelestny, niemy. No–no–no, pomyślał Kandyd, przecież to tylko roboty sługa. Brawo, powiedział do siebie, brawo, przecież sam do tego doszedłem. Zapomniałem, jak do tego doszedłem, ale to nieważne, ważne, że zrozumiałem, pojąłem. Wszystko wziąłem pod uwagę i zrozumiałem... Mam mózg, jasne? — powiedział sam o sobie patrząc w plecy kobiet. — Nie macie powodu do pychy... Ja też coś niecoś potrafię.

Kobiety rozmawiały o jakimś człowieku, który zabrał się do nie swojej roboty i dlatego stał się pośmiewiskiem. Coś je rozbawiło, śmiały się. Szły lasem i śmiały się. Jakby szły wiejską drogą w odwiedzinach do sąsiadki. A wokół był las i pod stopami była nawet nie ścieżka, tylko gęsta jasna trawa, w takiej trawie zawsze rosną drobne, niedostrzegalne kwiatki, te kwiatki rozrzucają zarodniki, które przenikają pod skórę i potem kiełkują. Kobiety chichotały, gadały i plotkowały, a Nava szła między nimi i spała, ale one zrobiły coś takiego, że szła dosyć pewnie i prawie się nie potykała... Kobieta w ciąży obejrzała się przelotnie, zobaczyła Kandyda i powiedziała z roztargnieniem:

— Jeszcze tu jesteś? Wracaj do lasu, do lasu... Po co idziesz za nami?

Tak, pomyślał Kandyd. Po co? Czego ja od nich chcę? A przecież czegoś chcę, czegoś się muszę dowiedzieć... Nie, to nie to... Nava! — przypomniał sobie nagle. Zrozumiał, że Navę utracił. Na to już nie ma rady. Nava odchodzi ze swoją matką, i słusznie, Nava odchodzi do gospodarzy. A ja? Ja zostaję. Więc po co w takim razie idę za nimi? Odprowadzam Navę? Przecież ona śpi, została uspijona. Ogarnął go smutek. Żegnaj, Nava, pomyślał.

Dotarli do rozwidlenia ścieżki, kobiety skrzyły na lewo, w kierunku jeziora. Jeziora z topielcami... To one są topielcami. Znowu wszystko się poplątało, pokreśliło. Minęli to miejsce, w którym Kandyd czekał na Navę i jadł ziemię. To było bardzo dawno, pomyślał Kandyd, prawie tak dawno jak stacja biologiczna... Bio...logiczna. Szedł z trudem i gdyby na pięty nie następował mu martwiak, dawno zostałyby w tyle. Potem kobiety przystanęły i popatrzyły na Kandyda. Wokół rosły trzciny, ziemia pod nogami była ciepła i bagna. Nava stała z zamkniętymi oczami, chwiała się ledwie dostrzegalnie, a kobiety patrzyły na Kandyda z zadumą. Wtedy sobie przypomniał.

— Jak mam trafić na stację biologiczną? — zapytał.

Na twarzach kobiet pojawiło się zdumienie i wtedy uprzytomnił sobie, że przemówił w swoim ojczyństym języku. Sam się zdziwił, zapomniał już, kiedy ostatni raz mówił w tym języku.

— Którędy mam iść do Białych Skał? — zapytał. Kobieta w ciąży powiedziała z uśmiechem:

— Oto czego chce ten koziołek, okazuje mę... — mówiła nie do niego, mówiła do matki Navy.

— To zabawne, jak oni nic nie rozumieją. Żaden z nich nic nie rozumie. Wyobrażasz sobie, jak oni idą do Białych Skał i trafiają w Strefę walk?

— Gniją tam za życia — powiedziała matka Navy z dumą. — Idą i gniją, i nawet nie dostrzegają, że nie idą, tylko drepczą w miejscu... A zresztą niech idzie, dla Przewyciężenia to nawet korzystne. Zgnije — bardzo dobrze. Rozpłynie się — jeszcze lepiej... — A może on jest uodporniony? — Jesteś uodporniany? — zapytała Kandyda.

— Nie rozumiem — odpowiedział Kandyd głosem, w którym nie było nadziei.

— Moja droga, o co ty go pytasz? Jak on może być uodporniony?

— Na tym świecie wszystko jest możliwe — odparła matka Navy. — Słyszałam o podobnych wypadkach.

— To nie sprawdzone plotki — powiedziała kobieta w ciąży. Znowu uważnie obejrzała Kandyda. — A wiesz — powiedziała — być może tutaj będzie z niego więcej pożytku... Pamiętaj, co wczoraj mówiły Wychowawczynie?

— A–a — powiedziała matka Navy. — Może masz rację... niech... niech zostanie.

— Tak, tak, zostań — nagle odezwała się Nava. Nie spała już i również czuła, że dzieje się coś

niedobrego. — Zostań, Mruk, nigdzie nie odchodź, po co masz teraz odchodzić? Przecież chciałeś do Miasta, a to jezioro to właśnie Miasto, prawda, mamó? A może obraziłeś się na mamę? Nie obrażaj się, mama jest dobra, tylko dzisiaj, nie wiem czemu, jest zła... Pewnie przez ten upał...

Matka wzięła ją za rękę. Kandyd zobaczył, jak wokół jej głowy szybko zgęstniał znajomy liliowy obłoczek, a oczy na moment stały się szkliste, opuściła powieki, a potem powiedziała:

— Chodźmy, Nava, czekają już na nas.

— A Mruk?

— On zostanie tutaj... W Mieście nie ma absolutnie nic do roboty.

— Ale ja chcę, żeby on był ze mną! Jak ty możesz nie rozumieć, przecież to mój mąż, dali mi go za męża, on już od dawna jest moim mężem...

Obie kobiety skrzywiły się.

— Chodźmy, chodźmy — powiedziała matka Navy. — Ty jeszcze nic nie rozumiesz... On nikomu nie jest potrzebny, on jest bezużyteczny, oni wszyscy są bezużyteczni, oni są omyłką... No, chodźmy wreszcie! No dobrze, potem do niego przyjdiesz... jeżeli zechcesz.

Nava opierała się, zapewne czuła to samo, co Kandyd — że rozstają się na zawsze. Matka ciągnęła ją za rękę w trzciny, a Nava ciągle oglądała się i wołała:

— Nie odchodź, Mruk! Ja szybko wrócę, nie waż się odejść beze mnie, to będzie nieładnie, po prostu nieuczciwie! Nawet jeżeli nie jesteś moim mężem, bo im się to, nie wiem dlaczego, nie podoba, to ja i tak jestem twoją żoną, pielęgnowałam cię w chorobie, teraz czekaj na mnie! Słyszysz? Czekaj!

Patrzył w ślad za nią, słabo machał jej dłonią, potakująco kiwał głową i starał się uśmiechać. Żegnaj, Nava, myślał. Żegnaj. Stracił je z oczu, zostały tylko trzciny, ale głos Navy było jeszcze słychać, a potem Nava zamilkła, rozległ się plusk i wszystko ucichło. Przełknął kłębek w gardle i zwrócił się do kobiety w ciąży:

— Co z nią zrobicie?

Kobieta ciągle jeszcze patrzyła na niego z uwagą.

— Co z nią zrobimy? — powtórzyła z zadumą. — To nie twoja sprawa, koziołku, co z nią zrobimy. W każdym razie mąż jej więcej nie będzie potrzebny. I ojciec również... Ale co zrobić z tobą? Ty przecież jesteś z Białych Skał i nie możemy cię wypuścić ot, tak sobie...

— Czego chcecie? — zapytał Kandyd.

— Czego chcemy? Mężów nam w każdym razie nie trzeba. — Zauważyła spojrzenie Kandyda i zaśmiała się szyderczo. — Nie trzeba, nie trzeba, uspokój się... Spróbuj choć raz w życiu nie być kozłem. Spróbuj wyobrazić sobie świat bez kozłów — mówiła nie myśląc, a raczej myśląc o czymś innym. — A do czego jeszcze się nadajesz? Powiedz mi, koziołku, co ty umiesz?

Coś się kryło za jej słowami, za jej tonem, za pogardliwą i obojętną wyniosłością — coś ważnego, nieprzyjemnego i strasznego, ale sprecyzować to było trudno; Kandyd nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie czarne kwadratowe drzwi i Carla z dwiema kobietami — podobnie obojętnymi i wyniosłymi.

— Czy ty mnie słuchasz? — zapytała kobieta w ciąży. — Co umiesz robić?

— Nic nie umiem — ospale odpowiedział Kandyd.

— Być może umiesz zarządzać?

— Kiedyś umiałem — odpowiedział Kandyd. A idźże do diabła, pomyślał, czego się do mnie przyczepiłaś? Pytam cię, jak mam iść do Białych Skał, a ty się czepiasz... Zrozumiał nagle, że się jej boi, bo inaczej dawno by odszedł. Kobieta była tu gospodarzem, a on był żalonym, brudnym i głupim koziołkiem.

— Kiedyś umiałeś — powtórzyła. — Rozkaż temu drzewu, żeby upadło!

Kandyd spojrział na drzewo. Było to wielkie grube drzewo z włóchatym pniem zwieńczonym

potężną koroną. Wzruszył ramionami.

— Dobrze — powiedziała kobieta. — Więc zabij to drzewo... Też nie możesz? A czy w ogóle możesz sprawić, żeby to, co żywe, stało się martwe?

— Zabić?

— Niekoniecznie zabić. Zabić nawet rękojad potrafi. Sprawić, żeby żywe stało się martwe. Zmusić żywe, żeby stało się martwe. Umiesz?

— Nie rozumiem — powiedział Kandyd.

— Nie rozumiesz... A więc co wy tam robicie na tych Białych Skałach, jeśli nawet tego nie rozumiesz? A z martwego zrobić żywe, też nie umiesz?

— Nie umiem.

— A więc co ty umiesz? I co robiłeś na Białych Skałach, póki nie spadłeś? Po prostu żarłeś i plugawiłeś kobiety?

— Badałem las — odparł Kandyd.

Kobieta popatrzyła na niego surowo.

— Nie waż się kłamać. Jeden człowiek nie może badać lasu ani na przykład słońca. Jeżeli nie chcesz mówić prawdy, to powiedz od razu.

— Kiedy ja rzeczywiście badałem las — powiedział Kandyd. — Badałem... — stropił się. — Badałem najmniejsze istoty, które są w lesie. Te, których nie widać gołym okiem.

— Znowu kłamiesz — cierpliwie powtórzyła kobieta. — Nie można badać tego, czego się nie widzi.

— Można — powiedział Kandyd. — Potrzebne są tylko... — znowu się zająknął — mikroskop... soczewki... aparaty... Tego nie sposób przekazać. Tego nie da się wytłumaczyć. Jeżeli wziąć kroplę wody — powiedział — to mając odpowiednie przedmioty można zobaczyć w niej tysiące tysięcy maleńkich zwierzątek...

— Do tego nie są potrzebne żadne przedmioty — powiedziała kobieta. — Widzę, że popadliście w rozpustę na tych waszych Białych Skałach, z tym waszymi martwymi rzeczami. Degenerujecie się. Już dawno zauważyłam, że straciliście zdolność widzenia tego, co widzi w lesie każdy człowiek, nawet brudny mężczyzna... Poczekaj... czy ty mówisz o tych małych, czy o najmniejszych? Może mówisz o budowniczych?

— Być może — powiedział Kandyd. — Ja cię nie rozumiem. Myślę o maleńkich zwierzątkach, które sprowadzają chorobę, ale którymi można też leczyć, które pomagają robić jedzenie, których jest bardzo wiele i które są wszędzie... Chciałem zobaczyć, jakie one są u was w lesie, jak są zbudowane i co potrafią...

— A na Białych Skałach one są inne — sarkastycznie powiedziała kobieta. — Zresztą dobrze, już zrozumiałam, czym się zajmujesz. Nad budowniczymi oczywiście żadnej władzy nie masz. Każdy wiejski przyglupek potrafi więcej niż ty... Co z tobą począć? Przecież sam tu przyszedłeś...

— Ja już sobie pójdę — powiedział Kandyd ze zmęczeniem. — Pójdę już, żegnaj.

— Nie, poczekaj... Stój, mówię ci! — krzyknęła kobieta i Kandyd poczuł rozpalone kleszcze ściskające od tyłu jego łokcie. Szarpnął się, ale to było bez sensu. Kobieta myślała głośno: — Ostatecznie przyszedł sam. Bywają takie przypadki. Jeżeli go wypuścić, wróci do swojej wsi i stanie się całkowicie bezużyteczny... Łapanie ich nie ma sensu. Ale jeżeli sami przychodzą... Wiesz, co z tobą zrobić? — zapytała Kandyda. — Oddam cię Wychowawczyniom do nocnych zajęć. Ostatecznie były już udane przypadki... Do Wychowawczyń, do Wychowawczyń! — kobieta machnęła dłonią i niespiesznie, przewalając się z nogi na nogę, weszła w trzciny.

I wtedy Kandyd poczuł, że coś zawraca go na ścieżkę. Łokcie mu zdrętwiały, miał wrażenie, że już są zwęglone. Szarpnął się z całej siły i kleszcze zwarły się jeszcze mocniej. Nie zrozumiał, co z nim będzie i gdzie go zaprowadzą, kim są owe Wychowawczynie, co to za nocne zajęcia, ale

przypomniał sobie to, co widział najstraszniejszego — widmo Carla wśród szlochającego tłumu i rękojada zwijającego się w pstrokaty kłębek. Wykorzystał moment i kopnął martwiaka — kopnął do tyłu, na ślepo, desperacko, wiedząc, że drugi raz już mu się to nie uda. Noga ugrzęzła w czymś miękkim i gorącym, martwiak chrapnął i osłabił uchwyt. Kandyd upadł twarzą w trawę, poderwał się, odwrócił głowę i krzyknął — martwiak szedł na niego, szeroko rozstawiając nieprawdopodobnie długie ręce. A nie było pod ręką ani trawomora, ani zacieru, ani kija, ani kamienia. Grząska ciepła ziemia rozstępowała się pod nogami. Potem Kandyd coś sobie przypomniał, wsunął dłoń za pazuchę i kiedy martwiak zawisł nad nim, uderzył go skalpelem gdzieś między oczy i, nie patrząc, ciężarem całego ciała pociągnął ostrze z góry na dół, do samej ziemi, i znowu upadł.

Leżał wtulając policzek w trawę i patrzył na martwiaka, który stał chwiejąc się, powoli otwierał się jak walizka na całej długości pomarańczowego tułowia, a potem runął na wznak, zalewając wszystko dookoła gęstą białą cieczą; parę razy zadygotał i zmarł. Wówczas Kandyd wstał i człapiąc odszedł ścieżką. Jak najdalej stąd. Niewyraźnie pamiętał, że chciał tu na kogoś czekać, czegoś się chciał dowiedzieć. Ale teraz to wszystko nie miało znaczenia. Trzeba było uciec jak najdalej, chociaż zdawał sobie sprawę, że uciec mu się nie uda. Ani jemu, ani wielu, wielu innym.

ROZDZIAŁ 5

Obudził się, otworzył oczy i wpatrzył się w niski, pokryty wapiennymi zaciekami sufit. Po suficie znowu szły mrówki. Od prawej ku lewej — obładowane, z lewej ku prawej — bez ładunku. Miesiąc temu było odwrotnie, miesiąc temu była Nava. A poza tym nic się nie zmieniło. Pojutrze idziemy, pomyślał.

Za stołem siedział starzec i patrzył na Kandyda dłużej w ucho. Starzec do reszty wynędzniał, oczy miał zapadłe i ani jednego zęba. Pewnie już niedługo umrze, ten starzec.

— Co ty wyprawiasz, Mruk — płacząco powiedział starzec — nic nie masz do jedzenia. Jak tylko zabrali ci Navę, to żadnego jedzenia w domu nie ma. Ani rano nie ma, ani w obiad, mówiłem ci przecież — nie idź, nie wolno. Po co poszedłeś? Nasłuchałeś się Kaczonoga i poszedłeś, a czy Kaczonóg rozumie, co można, a czego nie wolno? Kaczonóg tego nie rozumie, i ojciec Kaczonoga też był taki sam, i cały ich kaczonogi ród jest taki, i dlatego wszyscy wymarli; Kaczonóg też z całą pewnością umrze i nikt nic na to nie poradzi... A może ty masz jakieś jedzenie, Mruk, może je schowałeś, co? Bo niektórzy chowają... Więc jeżeli schowałeś, to przynieś szybko, bo jeść mi się chce, bez jedzenia nie mogę, przez całe życie jem, przyzwyczałem się... A Navy już teraz nie masz, Kusego też drzewo zabiło... Oto u kogo zawsze było dużo jedzenia — u Kusego! Na jeden raz po trzy garnki u niego zjadałem, chociaż zawsze było źle zakiszzone, paskudne, i pewnie dlatego drzewo go zabiło... Mówiłem mu: nie wolno jeść czegoś takiego...

Kandyd wstał i przeszukał skrytki, które przygotowała Nava. Jedzenia rzeczywiście nie było. Wobec tego wyszedł na ulicę, skręcił w lewo i ruszył przez plac do domu Kułaka. Starzec włókł się jego śladem, jęczał i utyskiwał. Na polu niezgrane smętne głosy pokrzykiwały: „Ej, weselej siej, w lewo siej, w prawo siej”. Z lasu odpowiadało echo. Teraz każdego ranka zdawało się Kandydowi, że las jest coraz bliżej. W rzeczywistości wcale tak nie było, a jeżeli nawet było, ludzkie oko nie mogło tego zauważyć. I martwiaków z pewnością nie było w lesie więcej niż dawniej, a zdawało się, że jest ich więcej. Zapewne dlatego, że teraz Kandyd dokładnie wiedział, czym one są, a także dlatego, że ich nienawidził. Kiedy z lasu wychodził martwiak, natychmiast rozlegały się okrzyki: „Mruk! Mruk!” Wtedy Kandyd szedł i rozpruwał martwiaka skalpelem — szybko, pewnie, z okrutnym zadowoleniem. Cała wieś biegła oglądać to widowisko, nieodmiennie wydawała chóralne okrzyki i zasłaniała oczy dłońmi, kiedy wzdłuż parującego tułowia otwierała się straszna biała rana. Dzieci więcej nie dokuczały Mrukowi, teraz bały się go śmiertelnie, uciekały, chowały się, kiedy nadchodził. O skalpeli szeptano wieczorami w domach, a ze skór martwiaków na rozkaz sprytnego starosty zaczęto robić koryta. Dobre to były koryta, wielkie i mocne...

Na środku placu stał po pas w trawie Uchacz osnuty liliowym obłoczkiem, z uniesionymi dłońmi. Oczy miał szkliste i pianę na wargach. Wokół niego tłoczyły się zaciekawione dzieciaki, patrzyły i słuchały z otwartymi ustami — to widowisko nigdy im się nie nudziło. Kandyd również przystanął, żeby posłuchać, i dzieci jakby wiatr wymiół.

— Do bitwy Wkraczają nowe... — metalicznym głosem bredził Uchacz. — Zwycięskie natarcie... wielkie obszary spokoju... nowe oddziały drухen... Uspokojenie i Zespolenie...

Kandyd poszedł dalej. Dziś od rana umysł miał dosyć jasny, czuł, że może myśleć, więc zaczął rozmyślać, kim właściwie jest Uchacz i po co on komu. Teraz był sens myśleć o tym, ponieważ teraz Kandyd już coś niecoś wiedział, i czasem nawet mu się wydawało, że wie bardzo dużo, jeżeli nie wszystko. W każdej wsi jest taki Uchacz; i u nas jest Uchacz, i w Osadzie, a starzec nadal gadał, że jakiś zupełnie niezwykły Uchacz był w tej wsi, która teraz jest zagrzybiona. Na pewno kiedyś były czasy, kiedy wielu ludzi wiedziało, co to takiego Przewyciężenie, i rozumiało, o jakich

zwycięstwach mowa, a wtedy na pewno oni byli zainteresowani w tym, żeby wielu to wiedziało, albo wyobrażali sobie, że są w tym zainteresowani; potem okazało się, że świetnie można się obejść bez wielu, wielu ludzi, że wszystkie te wsie — to pomyłka, a chłopci nie więcej niż kozły... To stało się wtedy, kiedy nauczyli się posługiwać liliową mgłą i z liliowych obłoków wyszły pierwsze martwiaki... i pierwsze wsie znalazły się na dnie pierwszych trójkątnych jezior... powstały pierwsze oddziały druchen... Uchacze zostali i została tradycja, której nie unicestwiono po prostu dlatego, że oni o tej tradycji zapomnieli. Bezmyślna tradycja, równie bezmyślna jak cały ten las, jak te wszystkie sztuczne potwory i miasta, z których poczyną się destrukcja, te przerażające baby amazonki, kapłanki partenogenezy, okrutne i wyniosłe władczynie wirusów, władczynie lasu, rozpuchłe w ciepłej wodzie... i ta gigantyczna krzątanka w dżungli, te wszystkie Wielkie Przeorania i Zabagnienia — pomysł potworny w swojej absurdalności i rozmachu... Myśli płynęły swobodnie, nawet jakby automatycznie, w ciągu tego miesiąca zdążyły już wyźłobić sobie stałe i niezmiennie koryta; Kandyd wiedział z góry, jakie emocje zrodzą się w jego głowie w następnej sekundzie. W naszej wsi to właśnie nazywa się myśleniem. Teraz, w tym momencie, powstaną wątpliwości... Przecież nic nie widziałem. Spotkałem trzy leśne czarodziejki. A czy to mało kogo można spotkać w lesie? Widziałem zagładę podstępnej wsi, wzgórze podobne do fabryki żywych istot, piekielną rozprawę z rękojadem... zagłada, fabryka, rozprawa... Przecież to są moje słowa, moje pojęcia. Nawet dla Navy zagłada — to nie zagłada, tylko Przewyciężenie... Ale ja przecież nie wiem, co to takiego Przewyciężenie. Dla mnie to jest straszne, dla mnie to jest odrażające, a wszystko dlatego, że jest mi to obce, więc być może nie należy mówić „okrutne bezmyślne szczucie lasu na ludzi”, tylko „planowe, świetnie zorganizowane, precyzyjnie przemyślane natarcie nowego na stare”, „dojrzałego, krzepkiego, nowego na gnijące, pozbawione perspektyw, stare”... Nie zwyrodnienie, lecz rewolucja. Prawidłowości rozwoju, tendencyjnie obserwowane przeze mnie z boku, oczami obcego, który nic nie rozumie i dlatego, właśnie dlatego wyobraża sobie, że rozumie wszystko i ma prawo osądzać. Jak mały chłopiec, który oburza się na wstrętnego koguta bezlitośnie depczącego nieszczęsną kurę.

Kandyd spojrział na Uchacza. Uchacz z właściwym sobie otępiąłym wyrazem twarzy siedział w trawie i kręcąc głową przypominał sobie, gdzie jest i co się z nim dzieje. Żywy radioodbiornik. To znaczy, że istnieją żywe radioodbiorniki... żywe mechanizmy i żywe maszyny — tak jest, na przykład martwiaki... Ale dlaczego, dlaczego to wszystko tak wspaniale wymyślane, tak wspaniale zorganizowane nie budzi we mnie cienia życzliwości, tylko nienawiść i odrazę...

Z tyłu bezszelestnie podszedł Kułak i uderzył Kandyda dłonią w plecy.

— Stoi i gapi się, maćtrwa — powiedział. — Jeden taki też stał i się gapił, oderwali mu ręce i już więcej się nie gapi. Kiedy idziemy, Mruk? Długo masz zamiar zawracać mi głowę? Przecież moja stara odeszła do innych, maćtrwa, sam trzecią noc śpię u starosty, a dzisiaj mam zamiar zanocować u wdowy Kusego. Całe jedzenie tak zatęchło, że nawet ten stary grzyb nie chce żreć, mordą kręci i mówi: wszystko u ciebie zatęchło, nie tylko jeść, ale nawet powąchać się nie da, maćtrwa. Tylko że ja do Czarcich Skał nie pójdę, Mruk, pójdę z tobą do Miasta i tam znajdziemy sobie baby. Jeśli spotkamy złodziei, to połowę bab oddamy, nie ma czego żałować, maćtrwa, a drugą połowę przyprowadzimy na wieś, niech sobie żyją tutaj, co się mają moczyć niepotrzebnie, jedna też tak kiedyś pływała, a jak jej dobrze dali w zęby, to już więcej nie pływa, na wodę nie chce nawet patrzeć, maćtrwa... Słuchaj, Mruk, a może ty nakłamałeś o Mieście i o tych babach? Albo może ci się przywidziało? Nawę odebrali ci złodzieje i z rozpaczy coś ci się przywidziało? Kaczonóg na przykład nic ci nie wierzy; uważa, że wszystko ci się przywidziało. Jakie tam znowu Miasto w jeziorze. Czy w ogóle można żyć w jeziorze, maćtrwa? Przecież my wszyscy tam utoniemy, tam jest woda, maćtrwa, co z tego, że tam są baby, ja do wody nawet za babami nie wleżę, nie umiem pływać, a zresztą po co? Ale ostatecznie mogę postać na brzegu, póki będziesz je wyciągał... A

więc tak, ty wejdiesz do Wody, maćtrwa, a ja zostanę na brzegu i razem wszystko załatwimy...

— Wyłamałeś sobie kij? — zapytał Kandyd.

— A gdzie ja w lesie znajdę kij, maćtrwa? — zapytał Kułak. — Po kij trzeba iść aż na bagna. A ja nie mam czasu, pilnowałem jedzenia, żeby ten stary nie zeżał, po co mi kij, kiedy nie mam zamiaru z nikim się bić... Jeden taki też się z każdym bił, maćtrwa...

— Dobra — powiedział Kandyd — sam ci wyłamię kij. Idziemy pojutrze, nie zapomnij.

Odwrócił się i poszedł z powrotem. Kułak nic się nie zmienił. Chociaż bardzo się starał wytłumaczyć im — niczego nie zrozumieli i, jak się wydaje, w nic nie uwierzyli.

Martwiaki nie mogą służyć babom, to ty, Mruk, zasuwasz nam tu głodne kawałki. Baby boją się martwiaków jak śmierci, popatrz na moją, a potem dopiero gadaj. A że cała wieś zatoneła, to znaczy, że po prostu dokonano się Przewyciężenie, to wie każdy i bez ciebie, i co mają do tego twoje baby? A w ogóle, Mruk, to ty nie byłeś w żadnym Mieście, nie zwracaj nam głowy, lepiej się przyznaj, nikt do ciebie nie będzie miał pretensji, bo bardzo ciekawie opowiadasz. Tyle że w Mieście nie byłeś, to wiemy wszyscy, dlatego że jak kto był w Mieście, to już więcej nie wraca... A twoją Navę to nie żadne baby, ale zwyczajni złodzieje zabrali, nasi złodzieje, miejscowi. Nigdy w życiu, Mruk, nie wygrałbyś ze złodziejami. Chociaż mężczyzną jesteś jak się patrzy i, trzeba przyznać, odważnym, a jak martwiaki załatwiasz, to po prostu aż strach patrzeć...

Myśl o nadciągającej zagładzie po prostu nie mieściła się im w głowach. Zagłada nadciągała zbyt powoli i od zbyt dawna. Problem zapewne polegał na tym, że zagłada jest według ludzkich pojęć czymś, co następuje błyskawicznie, kojarzy się z nagłą katastrofą. A oni tutaj nie umieli i nie chcieli uogólniać, nie umieli i nie chcieli myśleć o świecie istniejącym poza ich wsią. Była wieś i był las. Las był silniejszy, ale przecież las z a w s z e był i z a w s z e b ę d z i e silniejszy. Jaka znowu zagłada? Gdzie zagłada? To po prostu życie. Co innego, kiedy kogoś przywali drzewo, to oczywiście zagłada, ale tu zwyczajnie trzeba mieć głowę na karku i umieć kombinować... Kiedy oni wreszcie rozumieją? Kiedy wreszcie się połapią? Kiedy nie zostanie już ani jednej kobiety, kiedy mokradła przybliżą się do progów ich domów, kiedy na ulicach wytrysną podziemne źródła, a nad dachami zawiśnie liliowy obłok... A może i wtedy nic do nich nie dotrze — powiedzą po prostu: nie można tu żyć dłużej — Przewyciężenie. I odejdą, żeby gdzie indziej zbudować nową wieś...

Kaczonóg siedział w progu, polewał zacierem grzyby, które wyrosły przez noc, i zabierał się do śniadania.

— Siadaj — powiedział życzliwie do Kandyda. — Zjesz coś? Bardzo udane grzyby.

— Zjem — powiedział Kandyd i usiadł obok.

— Jedz, jedz — powiedział Kaczonóg. — Nie masz teraz Navy, a zanim się przyzwyczaisz bez Navy... Słyszałem, że znowu idziesz. Kto mi to powiedział? A no tak, to ty sam ani powiedziałeś: idę, powiedziałeś. Czego ty w domu nie możesz usiedzieć? Siedziałbyś w domu i dobrze by ci było... Do Szuwarów idziesz czy do Mrowisk? Do Szuwarów i ja bym się z tobą przeszedł. Skręcilibyśmy teraz tą ulicą na prawo, potem przez zagajnik, w zagajniku przy okazji nabieralibyśmy grzybów, zabrali zacier, podjedli od razu na miejscu — w zagajniku są dobre grzyby, we wsi takie nie rosną, zresztą w innych miejscach też nie rosną, a w zagajniku jesz, jesz i nie możesz się najeść... A jakbyśmy się już najedli, wyszlibyśmy z zagajnika obok Chlebowego Stawu, tam znowu byśmy coś zjedli — tam dobre ziarniaki się rodzą, słodkie, aż dziw, że na mokradłach i w bagnie są takie ziarniaki... No, a potem oczywiście szlibyśmy trzy dni, prosto za słońcem, no i patrzeć, a tu już Szuwarzy...

— My idziemy do Czarcich Skał — cierpliwie przypomniał Kandyd. — Pojutrze. Kułak też idzie.

Kaczonóg niepewnie pokręcił głowę.

— Do Czarcich Skał... — powtórzył. — Nie, Mruk, do Czarcich Skał dojść się nie da. Czy ty wiesz, gdzie to jest — Czarcie Skały? Ich może w ogóle nie ma, tylko ludzie, ot, tak sobie gadają. Skały, niby że Czarcie... Tak, do Czarcich Skał ja nie pójdę, nie wierzę w nie. Co innego na przykład do Miasta albo, jeszcze lepiej, do Mrowisk, to niedaleko, dwa kroki... Słuchaj, Mruk, chodźmy do Mrowisk. Kułak z nami pójdzie... Ja w Mrowiskach, od kiedy sobie nogę zepsułem, to jeszcze nie byłem. Nava, pamiętam, ciągle mnie prosiła, chodźmy, mówi, Kaczonogu, do Mrowisk... Bardzo chciała, rozumiesz, zobaczyć dziuplę, w której sobie zepsułem nogę... Ja jej na to, że nie pamiętam, gdzie jest ta dziupla, a w ogóle może już Mrowisk nie ma, dawno tam nie byłem...

Kandyd gryzł grzyby i patrzył na Kaczonoga. A Kaczonóg mówił, mówił o Szuwarach, o Mrowiskach, oczy miał spuszczone i tylko z rzadka spoglądał na Kandyda. Dobry z ciebie chłop, Kaczonogu, i życzliwy jesteś, i znany mówca, i nawet sam starosta liczy się z tobą, i Kułak, a starzec to się po prostu ciebie boi, nie na darmo byłeś najlepszym przyjacielem sławnego Krzywdy-Męczennika, niespokojnego człowieka, który ciągle czegoś szukał, nie znalazł nic i wreszcie przepadł gdzieś w lesie... Tylko oto w czym bieda — nie chcesz ty mnie, Kaczonogu, puścić do lasu, żałujesz mnie, biedaka. Las — to miejsce straszne, niebezpieczne, zgubne, wielu tam chodziło, ale niewielu powróciło, a jeśli nawet wracali, to bardzo nastraszeni, a czasem i okaleczeni... jeden ze złamaną nogą, inny z czymś tam jaszczką... No i teraz kręcisz, Kaczonogu, udajesz przygłupka albo udajesz, że Mruka za takiego uważasz, a naprawdę pewny jesteś jednego: jeżeli już raz Mrukowi udało się wrócić, chociaż stracił dziewczynę, to drugi raz taki cud się nie zdarzy...

— Słuchaj, Kaczonogu — powiedział Kandyd. — Posłuchaj mnie uważnie. Mów, co chcesz, myśl, co chcesz, ale ja cię proszę o jedno: nie zostawiaj mnie, chodź ze mną do lasu. Jesteś mi bardzo potrzebny w lesie, Kaczonogu. Idziemy pojutrze i bardzo chciałbym, żebyś był z nami. Rozumiesz?

Kaczonóg patrzył na Kandyda i jego wypłowiałe oczy były nieprzeniknione.

— Jakże inaczej — powiedział. — Bardzo dobrze ciebie rozumiem. Pójdziemy razem. Jak tylko stąd wyjdziemy, skróćmy na lewo, dojdziemy do pola, minimy dwa kamienie — i na ścieżkę. Tę ścieżkę każdy pozna od razu, tyle tam kamieni, że nogi można połamać... Dlaczego nie jesz grzybów, Mruk, jedz, to dobre grzyby... Tą ścieżką dojdziemy do zagrzybionej wsi, ja ci o niej już chyba opowiadałem, ona jest pusta, cała zarosła grzybami, ale nie takimi, jak na przykład te, tylko jakimiś obrzydliwymi, nie będziemy ich jedli, po nich się choruje i nawet można umrzeć. Tak że w tej wsi nawet się nie będziemy zatrzymywać, tylko od razu pójdziemy dalej i po jakimś czasie dojdziemy do wsi cudaków, tam robią garnki z ziemi, też wymyślili! To się stało po tym, jak niebieska trawa przez nich przeszła. I nic, nawet się nie pochorowali, tylko zaczęli robić garnki z ziemi... U nich też się nie będziemy zatrzymywać, nie ma po co tam się zatrzymywać, tylko od razu skróćmy w prawo — i tam zaraz będzie Gliniana Polana.

A może nie zabierać cię? — myślał Kandyd. — Ty już tam byłeś, las cię już miał w pazurach i skąd mogę wiedzieć, może już wleś się na ziemi krzycząc ze strachu i bólu, a nad tobą, przygryzając piękne wargi i rozkładając dziecinne dłonie, pochylała się młodziutka dziewczyna. Nie wiem, nie wiem. Ale iść trzeba. Żeby złowić choćby ze dwie, choćby jedną, dowiedzieć się, zrozumieć do końca... A co dalej? Skazańcy, nieszczęśni skazańcy. A raczej — szczęśliwi skazańcy, bo nie wiedzą, że są skazani, że władcy ich świata widzą w nich tylko brudne plemię gwałcicieli, że poszczuli już na nich chmury zaprogramowanych wirusów, kolumny robotów, ściany lasu, że wszystko, co ich dotyczy, jest już ustalone i — co najstraszniejsze — że historyczna prawda, tu, w lesie, nie jest po ich stronie, że są oni relikdami, skazanymi na zagładę przez obiektywne prawa i pomagać im to znaczy iść przeciwko postępowi, powstrzymać postęp na

jakimś maleńkim odcinku frontu. Ale to mnie nie interesuje, pomyślał Kandyd. Co mnie obchodzi ich postęp, to nie jest mój postęp, zresztą postępem nazywam to tylko dlatego, że nie ma innego odpowiedniego słowa... Tu nie rozum wybiera. Tu wybiera serce... Prawa rozwoju nie mogą być złe albo dobre, istnieją poza moralnością. Ale ja nie! Gdyby mnie znalazły te druhnny, wyleczyły, pielęgnowały, uznały za swojego — no cóż, wtedy zapewne zwyczajnie i naturalnie stanąłbym po stronie postępu, a Kaczonóg i te wszystkie wsie byłyby dla mnie antypatycznym przeżytkiem, z którym cackają się zbyt długo... A może i nie, być może to nie byłoby ani łatwe, ani proste, po prostu nie mogę, kiedy ludzi traktuje się jak zwierzęta. Ale może problem polega na terminologii i gdyby kobiety nauczyły mnie swego języka, wszystko brzmiałoby dla mnie inaczej — wrogowie postępu, żarłoczne tępe darmozjady... ideały... wielkie cele... naturalne prawa natury... I w imię tego likwiduje się połowę ludności! Nie, to nie dla mnie. Nie dla mnie, w żadnym języku świata. Mam gdzieś fakt, że Kaczonóg to kamyczek w żelaznych żarnach ich postępu. Zrobię wszystko, by na tym kamyczku żarna się zaklinały. I jeżeli nie uda mi się powrócić na stację biologiczną — a zapewne mi się nie uda — zrobię wszystko, na co mnie stać, żeby żarna przestały mleć. Zresztą jeżeli mi się uda wrócić na stację biologiczną... Taak. Dziwne, nigdy dotąd nie przychodziło mi do głowy, żeby spojrzeć na Instytut z zewnątrz. I Kaczonogowi nie przychodzi do głowy, żeby spojrzeć z zewnątrz na las. I tym druhnnom zapewne również. A przecież to bardzo ciekawy widok — Instytut z lotu ptaka. Dobra, o tym pomyślę kiedy indziej.

— A więc jesteśmy umówieni — powiedział. — Pojutrze idziemy.

— No a jakże inaczej — niezwłocznie odparł Kaczonóg. — Skręcimy na lewo...

Na polu nagle ludzie zaczęli krzyczeć. Kobiety piszczały. Chór głosów zawołał:

— Mruk! Ej. Mruk!

Kaczonóg oprzytomniał.

— Znowu martwiaki! — powiedział spieszenie wstając. — Na co czekasz, Mruk, wstawaj, ja chcę to zobaczyć.

Kandyd wstał, wy dobył z zanadrza skalpel i ruszył na skraj wsi.